



SMAK PÓLNOCY – HISTORIA DANIKI

TLUMACZENIE *wykidajlo*

BETA *xeo222*



ROZDZIAŁ 1

Orkiestra wystrojona w smokingi, wypełniała świąteczną muzyką salę balową edynburskiej rezydencji, gdzie dwa tuziny pięknych par wirowało pod girlandami kruchego ostrokrzewu i pachnących zimozielonych gałęzi.

Wysoko nad ich głowami, olbrzymie żyrandole skrzyły się złotymi akcentami i obwieszane były łzami z ciętego kryształu, które jak diamenty rozpraszały łagodne światło na tańczących pod nimi gości Mrocznej Przystani. Za wysokimi na osiemnaście stóp oknami, które biegły przez całą długość sali balowej była noc, opuszczane na dzień okiennice zostały uniesione, a szklane szyby ukazywały nieskazitelne, rozświetlone księżycową poświatą pasmo wzgórz Highlands spowitych w zimową biel.

Ten widok był jak doskonała fotografia w ilustrowanym magazynie. Elegancki, wytworny i uroczy.

Danika z trudem hamowała pragnienie, by zacząć krzyczeć.

Nie należała do tego miejsca. Przyjazd na wakacje do Szkocji i przybycie dzisiejszej nocy na to towarzyskie spotkanie Rasy... obie te rzeczy, które zrobiła pod naciskiem krewnych Conlana... były błędem. Dwa dni w Edynburgu i już aż się

pała, by zarezerwować najbliższy lot do domu, do swojego spokojnego życia w Danii.

Wciśnięta w sandały na wysokich obcasach i czarną suknię koktajlową przebywała tu nie dłużej niż dwie godziny, walcząc by prowadzić sensowne rozmowy z prawie setką ludzi, których zupełnie nie знаła i przez ponad połowę tego czasu z tęsknotą, którą ledwie potrafiła zamaskować wpatrywała się w główne drzwi rezydencji.

- Dobrze się bawisz, Daniko?

Boże, robiła wszystko co w jej mocy, by nie obrócić się na pięcie i nie rzucić się do ucieczki. Zamiast tego uśmiechnęła się uprzejmie do młodej, stojącej obok niej kobiety.

- Oczywiście Emmo, przyjęcie jest wspaniałe.

- No widzisz. Wiedziałałam, że będziesz zadowolona z tego, że na chwilę wyrwiesz się z domu - powiedział drobny rudzielec.

Była Dawczynią Życia jednego z dalekich kuzynów Cona, przy jej dwudziestu latach, jeszcze prawie dziecko, wciąż świeża, rozświetlona blaskiem naturalnej młodości i rozentuzjasmowana obietnicą wiecznej więzi, którą dzieliła z Jamesem, przystojnym mężczyzną Rasy, który stał u jej boku. Jego ciemne oczy z czułością wpatrywały się w Emmę, silnym ramieniem opiekuńczo przytulał ją do siebie. Gdy uśmiechnął się do swojej uroczej partnerki, nie można było nie zauważyć, że jego kły pragnęły wynurzyć się zza warg. Pożądanie odmieniło również jego spojrzenie, w jego tęczęwkach płonęły gorące iskry bursztynu.

Oczywiste było, że ta para darzyła się nawzajem gorącym uczuciem i Danice było bardzo trudno nie zazdrościć im ich przyszłości. Prawie nie mogła sobie

przypomnieć, jak to było być świeżo związaną, zakochaną i nie mogącą doczekać niekończącego się wspólnego życia.

Danika oderwała wzrok od szczęśliwej pary i wygładziła szkarłatny jedwab żałobnej szarfy, zawiązanej wokół talii. Zrezygnowała już z tradycyjnej, wdowiej, bieli, ale nawet półtora roku po tym, jak Conlan zginął w Bostonie, wciąż miała trudności z pozbyciem się tego ostatniego symbolu swojej straty. Przebywanie w Szkocji... ojczyźnie Cona... czyniło jego nieobecność tylko jeszcze bardziej dojmującą. Razem tworzyli tu swoją historię, na tej wyżynie i w górach Północnej Szkocji. Wieki zlewały się w jedno, podczas gdy oni wiedli swoje spokojne życie, do czasu, gdy poczucie obowiązku i honor Cona, jakieś sto lat temu przywiodły ich do Ameryki, gdzie jej partner złożył przysięgę, że odda swój miecz w służbę Zakonowi.

Nie pragnęli od losu niczego, z wyjątkiem dziecka, które w końcu zdecydowali się mieć.

Ich syn, Connor, został poczęty zaledwie na trzy miesiące przed tym, jak jego ojciec zginął w trakcie pechowej misji wykonywanej dla Zakonu.

Nawet na kilka godzin nienawidziła zostawiać dziecka w domku gościnnym pod opieką rodziny Conlana. Był wszystkim, co miała, nicią łączącą ją z życiem, które dzieliła z Conlanem MacConnem. Danika spojrzała na morze otaczających ją obcych, mężczyzn Rasy i ich partnerek, prawie sto nieznajomych twarzy w nieznanym miejscu. Patrzyła na nich wszystkich i nigdy nie czuła się bardziej samotna.

- Czy mogłabym przeprosić was na moment? - Zapytała stojącą przy niej parę.
- Powinnam jeszcze raz zadzwonić do domu i upewnić się, czy z Connorem jest wszystko w porządku.
- Ale przecież pięć minut temu sprawdzałaś, co u niego.

Danika pozwoliła, by ten komentarz zabrzmiał już za jej plecami, ruszając w kierunku zacisznego krańca sali balowej i wyławiając swoją komórkę z małej wieczorowej torebki. Najświeższe informacje z gościnnego domku, w którym zatrzymała się Danika z Connorem, były takie same jak, gdy dzwoniła poprzednim razem. Z dzieckiem było wszystko w porządku i nie było żadnego powodu, żeby Danika się martwiła.

Podziękowała Dawczyni Życia doglądającej Connora i zakończyła rozmowę, wiedząc, że to było złe, życzyć sobie jakiejś ważnej przyczyny, żeby opuścić to towarzystwo i pójść z powrotem do swojego dziecka. Dzisiejszej nocy powinna miło spędzać czas. Ponieważ utknęła tu do czasu aż jej towarzystwo zdecyduje się wyjść, może przynajmniej powinna trochę się postarać, by dobrze się bawić. Wsuwając telefon z powrotem do torebki, zaczęła powoli okrążyć salę. Czerwona szarfa wokół jej pasa zmieniała kierunek zainteresowań nawet najbardziej zuchwałych mężczyzn Rasy. Z drugiej strony jej wzrost pięciu stóp i jedenastu cali, nawet bez dodatkowych czterech cali, które dodawały szpilki i posiadanie długich blond włosów sprawiało, iż miała świadomość, że była trudna do przegapienia.

Mogła ignorować taksujące spojrzenia, które rzucali jej mężczyźni uczestniczący w tym przyjęciu. To pełne litości spojrzenia innych Dawczyń Życia, sprawiały, że czuła się strasznie skrępowana.

Owdowieć po tak długim czasie bycia razem? Raczej wolałabym umrzeć, niż stracić swojego partnera w ten sposób.

Danika przez chwilę zamknęła oczy, ponieważ napływały do niej myśli z całej sali. Nie wiedziała czyj umysł eksplorowała, ani nie mogła temu zapobiec. Każda Dawczyni Życia była obdarzona jakimś wyjątkowym pozazmysłowym talentem. Jej darem była zdolność czytania w myślach mężczyzn Rasy, Dawczyń Życia lub

zwykłych homo sapiens. Niefortunnie, odkąd zginął Conlan, ta umiejętność stała się nieprzewidywalna i nieposłuszna. Jego należąca do Rasy krew przez wieki utrzymywała jej młody wygląd; jak również karmiła posiadany przez nią dar, oraz sprawiała, że był silny i łatwy do kontrolowania.

Dziś wieczorem już kilkakrotnie została uderzona przez taki nagły, niesprowokowany umysłowy komentarz. Większość z nich to była nieciekawa paplanina i mdła, wypełniona bzdurami dywagacja na temat tego cocktail party, ale niektóre myśli miały ostre brzegi i wbijały się w nią jak strzały.

To by się nigdy nie zdarzyło, gdyby Conlan został w Szkocji, gdzie było jego miejsce. Nigdy nie powinien brać sobie obcej za partnerkę.

Danika uniosła brodę i weszła głębiej w chmurę cywilów bawiących tej nocy w Mrocznej Przystani, pozwalając im podejrzliwie się w siebie wpatrywać i rzucać milczące oskarżenia. A niech gapią się na nią, jak na outsiderkę, którą przecież była. Nigdy nie potrzebowała niczyjej aprobaty i było pewne jak piekło, że teraz też nie będzie o nią zabiegać.

Przeszła przez sam środek zgromadzenia, jej kroki były nieśpieszne, a głowę trzymała wysoko. Przypadkiem usłyszane, przytłumione odgłosy rozmów dołączyły do gradu niepożądanych, paranormalnych odczytów. Niemal niemożliwością było rozpoznać, które słowa zostały wymówione głośno, a które brzmiały tylko w jej umyśle.

Jałowe rozważania nad niefortunnym doborem garderoby i nierozstrzygnięte plany wakacyjne mieszały się z wymianą poglądów na temat polityki Rasy i fatalnego stanu gospodarki ludzkiego świata.

Zanim Danika dotarła do przeciwległej strony sali balowej, napięcie tego, co

odbierała i kakofonia otaczających ją dźwięków prawie rozerwały jej czaszkę. Odrobina świeżego powietrza mogłaby jej pomóc oczyścić umysł. Skręciła w stronę zamkniętych drzwi balkonowych, które wychodziły na taras widokowy.

Gdy się zbliżyła, dostrzegła na zewnątrz ciemne kształty kilku mężczyzn Rasy. Ich głosy były niewiele więcej niż cichym pomrukiem po tamtej stronie szyby. Zamarła przy wzmiance o nadchodzącym żywym transporcie, który dotarł z opóźnieniem na lotnisko w Edynburgu... to było coś drogiego, wymagającego traktowania z najwyższą dyskrecją. Już samo to wystarczyło, żeby obudził się jej instykt, ale następne komentarze, sprawiły, że stopy przyrosły jej do podłogi, w miejscu gdzie stała

- Czy ładunek zawiera coś... egzotycznego?

- Być może - padła sucha, arogancka odpowiedź. - Tak więc, nie omieszkaj złożyć najwyższej oferty. By twoje pragnienia, czegokolwiek by nie dotyczyły mogły zostać zaspokojone.

Grupa wampirów zareagowała przyciszonym, zdławionym chichotem. Kiedy znowu zaczęli rozmawiać ich głosy stały się zbyt ciche, by zdołała je usłyszeć. Ale spróbowała, przesuwając się trochę bliżej do tarasowych drzwi i udając zainteresowanie ohydny obrazem wiszącym na ścianie obok niej.

Podśluchiwanie jest bardzo niegrzecznym zwyczajem.

Ta myśl uderzyła w jej umysł nie wiadomo skąd, tak samo jak głęboki, intensywny jak czekolada i lekko ochrypli szkocki warkot.

Może też być niebezpieczne, dziewczyno.

Czy znała ten ochrypli, mroczny głos? Jeszcze bardziej niepokojące było pytanie,

czy jego właściciel znał ją?

Danika rozejrzała się szybko, wypatrując znajomych twarzy wśród chmary ludzi na sali balowej i w mniejszych grupach skupionych na jej obrzeżach. Poza garstką kuzynów Conlana i ich kobiet, wszyscy byli dla niej obcy.

Teraz już była pewna, że kiedyś słyszała to wolne, sardoniczne przeciąganie samogłosek pochodzące z regionu Górnej Szkocji.

Pomyślała o spiskującej na tarasie grupie mężczyzn i zastanowiła się...

Właśnie wtedy francuskie drzwi się otworzyły i cztery wampiry, jeden za drugim zaczęły wchodzić do rezydencji. Danika odsunęła się za późno, by udawać, że nie stała tam dłużej niż kilka minut.

Mężczyzna prowadzący grupę, wpił w nią zimne, stalowo-szare oczy. Nienagannie ubrany w smoking od Armaniego z czarnymi, lśniąco-czarnymi włosami, gładko zaczesanymi do tyłu, rzucił jej skąpy uśmiech.

- Kogo my tu mamy? - Głos, który po drugiej stronie tarasowych drzwi śmierdział arogancją, teraz zmiękł i ociekał czarem. Tak samo czarujący starali się być jego towarzysze, wszyscy... oprócz jednego. Strzelista, umięśniona sylwetka, szerokie ramiona i otaczająca go złowieszcza, mroczna aura... odróżniały tego mężczyznę do reszty.

- I pomyśleć, że mogłem dziś wieczorem opuścić to przyjęcie bez przyjemności zostania odpowiednio przedstawionym komuś tak ślicznemu jak ty.

Danika nie odpowiedziała. Jego uwaga nie zrobiła na niej wrażenia. Była zbyt zajęta próbą lepszego przyjrzenia się mężczyźnie stojącemu za nim. Ochroniarz albo

zbir, nie mogła mieć pewności. Wysoki i onieśmiałający, nosił więcej niż jedną sztukę broni pod klasycznie skrojonym, wełnianym płaszczem w kolorze grafitu. Jego spojrzenie częściowo skrywały rozwichrzone kosmyki orzechowo-brązowych, gęstych włosów, ale mogła się założyć, że straszna wąska blizna przecinająca jego pokryty jednodniowym zarostem policzek, pochodzi od noża, a garbek na grzbiecie nosa był wynikiem kiepsko wyleczonego złamania. Kiedy wpatrywała się w niego, wyraz jego pięknie wykrojonych ust stał się ponury. Wargi, nad jego kwadratową szczęką zacisnęły się w cienką, groźną linię.

Coś drażniło ją w głębi żył. Ta twarz jej nie pasowała, ale wygięcie tych ust...

Ona chyba знаła to mroczne spojrzenie, czyż nie?

- Nazywam się Reiver - powiedział wampir z ironicznym tonem, a ciężka atmosfera jaka nastąpiła po tych słowach przyprawiała ją o dreszcze. Jego spojrzenie przesunęło się po jej sylwetce, uniósł brew gdy zauważył szkarłatną szarfę wokół jej talii. - A ty musisz być wdową MacConn. Szkoda twojego mężczyzny. Uprawiał niebezpieczny proceder.

Danika obruszyła się na tą aluzję do swojego zmarłego partnera. W rzeczywistości, mogłaby przysiąc, że wykryła również lekki ślad dziwnej reakcji groźnego asystenta Reiversa. - Conlan zginął czyniąc to, w co wierzył. Czy to było bezpieczne czy nie, służył Zakonowi z honorem.

Lekko pochylił głowę w wyrazie nieszczerzego uznania. - Oczywiście. Współczuję ci z powodu twojej straty.

Może i mogłaby w to choć odrobinę uwierzyć, gdyby nie złośliwy błysk w jego oczach. - Nie jestem szczególnie zainteresowana niczym, co masz do zaoferowania. A teraz, jeśli mi wybaczysz... Gdy obróciła się żeby odejść, jego ręka mocno zacisnęła się na jej nadgarstku.

Danika usłyszała warknięcie, ale nie miała czasu zarejestrować, czy pochodziło ono od Reivera, czy od stojącego za nim ochroniarza, którego ciało stało się sztywne, napięte i wibrujące groźbą.

- Taki ostry język. Pogańscy wojownicy z Zakonu mogą uważać to za atrakcyjne w kobiecie, ale jesteś bardzo daleko od Bostonu, moja droga. Trochę uprzejmości dobrze by ci zrobiło.

Spojrzała w dół na długie palce, które jak imadło zaciskały się wokół jej nadgarstka. Jego ochroniarz wysunął się do przodu, jakby miał zamiar wkroczyć, ale Danika nie miała zamiaru dać się zastraszyć przez któregokolwiek z nich. - Puść mnie.

Reiver rozciągnął w uśmiechu swoje wąskie wargi. - Ledwie mieliśmy okazję się poznać. Zostań. Nalegam.

- Powiedziałam puść.

On tego nie zrobił. I w następnej sekundzie sala balowa rozbrzmiała echem głośnego zderzenia jej otwartej dłoni z jego twarzą.

Wydawało się, jakby cała sala zamarła w odpowiedzi. Ciała na parkiecie nagle znieruchomiały. Orkiestra ucichła. Rozmowy umilkły, a wszystkie głowy obróciły się w ich kierunku. Każdy wpatrywał się w Danikę i wampira, który kipiał od lodowatej furii, powstrzymywany przez swojego ochroniarza, który stanął pomiędzy nimi, by zapobiec uderzeniu kobiety w rewanżu.

- Danika! - Emma wraz z Jamesem przebiegła przez tłum. Wpatrywali się w nią jakby była dzieckiem, które właśnie szturchnęło patykiem zwiniętą żmiję. Danika, co

ty zrobiłaś?

- Przeprowadź mój samochód - warknął Reiver do swojego ochroniarza. Jego furia była oczywista, błyszczała bursztynem w jego tęczęwkach i zwęziła źrenice do wąskich kresiek. Za uniesionym brzegiem jego wargi, wysuwające się kły błysnęły jak naostrzona brzytwa. - Przedstawienie skończone. Wychodzę.

- Ależ panie Reiver - wtrącił James, wyraźnie pełen niepokoju. - Ja nie mam dość słów, żeby przeprosić za to... co tu zaszło. Proszę wybaczać naszej kuzynce. Ona na pewno nie chciała tego zrobić...

- Nie - powiedziała Danika. - Nie musisz przeproszać za mnie. Mogę mówić za siebie. A gdybym czuła, że są podstawy do przeprosin, to bym je wygłosiła.

Ochroniarz Reiversa wymamrotał przekleństwo pod nosem, podczas gdy oślepiający blask w oczach jego pracodawcy, jakby jeszcze przybrał na sile. - Samochód, Brandogge. Już.

Kiedy postawny mężczyzna odszedł, by wykonać polecenie, Reiver omiół Danikę jadowym spojrzeniem, którym praktycznie rozebrał ją do naga. - Być może trochę czasu spędzonego w Szkocji pomoże wygładzić szorstkie krawędzie jakich dorobiłaś się w Ameryce, Wdowo po MacConnie. Dla twojego dobra, mam taką nadzieję.

Zanim zdołała powiedzieć mu, gdzie może sobie wsadzić tę sugestię, krewni Conlana odciągnęli ją na bok, pozwalając Reiverowi opuścić przyjęcie bez kolejnych incydentów.

* * *

Bran podprowadził czarnego Rolls-Royca Reiversa przed front i zaparkował sedana przy głównych drzwiach na utwardzonym podjeździe w kształcie półksiężyca.

Swędziały go dłonie zaciśnięte na kierownicy, tętno rozsadzało mu uszy. Każdy z instynktów był w pełnej gotowości, każąc mu zabrać dupę z powrotem do środka i upewnić się, czy sytuacja pomiędzy jego szefem i owdowiałą Dawczynią Życia przypadkiem się nie zaogniła.

Nie, żeby martwił się o Reivera. Jego reputacja ochroniłaby go przed najgorszymi z plotek, publiczną naganą i skutkami uwagi, jaką przyciągnął do siebie dzisiejszej nocy. Jutro to zostałyby prawie zapomniane, albo przynajmniej wyciszone, jakby nigdy się nie wydarzyło. Było niewielu członków Rasy w Szkocji, którzy nie wiedzieli, że lepiej nie narażać się na gniew najbardziej złowrogiego mieszkańca Edynburga. Jeśli Reiver chciał pozbyć się problemów, mieli oni skłonność do szybkiego znikania.

Wierny brzmieniu swojego nazwiska (*rozbójnik ;*), od dawna przyzwyczał się do brania czegokolwiek chciał. Nikt nie odmówił mu niczego i nikt nie ośmielił się stanąć mu na drodze. Gdy okazały się łapówki i nielegalne przysługi nie wystarczyły, Reiver nie miał żadnych skrupułów z uciekaniem się do mniej cywilizowanych metod, by upewnić się, że jego interesy były chronione.

Co mógłby zrobić Reiver gdyby podejrzewał, że jego prywatna dyskusja dziś wieczorem została usłyszana przypadkiem przez Dawczynię Życia, która przez wiele lat związana była z Zakonem?

Trudno było to sobie wyobrazić. Było wystarczająco źle, że nadwyreżyła jego ego i zakończyła to fizyczną zniewagą pośrodku zatłoczonej sali balowej. Gdyby Reiver obawiał się, że ona może znać szczegóły jego obecnych interesów, Bran nie cierpiał nawet myśli, w jaki sposób jego szef zapewniłby sobie jej milczenie.

Bran gardził sukinsynem. Poczul, jak ta pogarda przelała się przez jego żyły i sprawiła, że jego wzrok wypełnił się złotym ogniem, kiedy obserwował jak Reiver

wyszedł z rezydencji i ruszył w kierunku czekającego pojazdu. Branowi zabrało chwilę, by zdusić w sobie nienawiść i ukryć twarz pod wystudiowaną maską spokoju, zanim drugi mężczyzna Rasy podszedł do samochodu i otworzył tylne drzwi.

Wślizgnął się na siedzenie i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Lepiej żeby ta zadzierająca nosa suka modliła się, żeby nasze drogi już nigdy się nie skrzyżowały. Byłoby wstyd zrujnować taką ładną buźkę, ale niech mnie cholera, jeśli ona nie błaga, żeby ktoś nauczył ją dyscypliny.

Bran odchrząknął, jego zmrużone oczy zerknęły na Reivera przez wsteczne lusterko. - Dokąd szefie?

- Klub - warknął.

Ale wtedy otworzyły się drzwi głównej rezydencji i na zewnątrz wyszła wysoka blondynka, oraz związana para, która przybiegła jej na pomoc podczas niedawnego incydentu. Kiedy zmierzali ku morzu luksusowych pojazdów zaparkowanych wzdłuż szerokiego podjazdu, śledziło ją wściekłe spojrzenie Reiversa. - Tak, ona jest kobietą, która potrzebuje twardej ręki. Między innymi. - Reiver zachichotał ponuro, a dłonie Brana zacisnęły się na kierownicy w śmiercionośnym chwycie. Robił co w jego mocy, by oprzeć się pragnieniu podejścia i rozbicia twarzy wampira o kuloodporną, tylną szybę.

Musiał zachować spokój.

Nie po to zaszedł tak daleko, tak ciężko pracował żeby zdobyć zaufanie Reiversa, by je teraz stracić.

Gdy Bran dodał gazu i Rolls łagodnie włączył się do ruchu, Reiver rozsiadł się wygodnie na skórzanym siedzeniu. - Jeśli istnieje coś czego nie mogę znieść, to jest to wyniosła kobieta. A jeszcze bardziej nienawidzę tej, która nie wie gdzie jest jej

miejsce.

Wypełnione arogancją oczy zetknęły się ze spojrzeniem Brana we wstecznym lusterku. - Chcę, żebyś dowiedział się wszystkiego o tej wdowie z Zakonu, a z raportem o tym, co odkryłeś zgłoś się do mnie. - Bran posłusznie skinął głową, po czym wrócił do studiowania okrytej mrokiem drogi.

Już wiedział bardzo dużo o tej kobiecie.

Ale to było dawno temu... prawdę mówiąc minęły całe wieki. W innym czasie, kiedy był innym człowiekiem.

I zanim piękna, duńska Dawczyni Życia oddała swoje serce jego najlepszemu przyjacielowi, Conlanowi z klanu MacConna.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA *xeo222*



ROZDZIAŁ 2

Danika nie poszła na przyjęcie, by szukać nowych przyjaciół ale na pewno nie spodziewała się, że będzie miała osobiste starcie z najbardziej przerażającym szefem podziemia kryminalnego Rasy w Edynburgu.

Nie, żeby ten incydent z Reiversem, który miał miejsce poprzedniej nocy pozbawił

ją snu, pomimo tego, co przerażeni Emma i James próbowali uzmysłwić jej po tym, jak już opuścili bal w Mrocznej Przystani. Według ich słów, brudne interesy Reiversa rozpoczęły się kilka stuleci temu, od najazdów na północne Pogranicze, gdzie rabował zwierzęta, zagarniał ziemię, a lojalność wymuszał ostrzem swojego miecza. Teraz to łapówki i osobiste przysługi pozwalały mu bezkarnie czynić wszystko, czego tylko zapragnął. To i jego reputacja jako człowieka bezwzględnego, powodowała, że było niewielu, o ile w ogóle znalazłby się ktoś, kto próbowałby rzucić mu wyzwanie.

Danika była bardziej urażona niż wystraszona zachowaniem Reiversa. I nie mogła przejść obojętnie nad zaprzętą jej umysł treścią rozmowy, którą przypadkiem usłyszała. Na temat mającego nadejść lada dzień żywego transportu. Oraz wyszeptanych próśb o egzotyczne atrakcje, którymi dysponował za astronomiczne ceny, a które rozpały apetyty lubieżnych, światowych przyjaciół Reiversa.

Sama myśl o tym zmroziła ją do szpiku kości.

Pomimo, że to zostało zabronione przez prawo Rasy, Reiver nie byłby pierwszym z ich rodzaju, który pokątnie handlował ludźmi, jakby byli oni tylko bydlęciem przeznaczonym na rzeź. Handlarze żywym towarem byli brudną plagą, zazwyczaj zaliczającą się do najpodlejszych i najniższych szczebli społeczeństwa Rasy. Pochodzące z ulicy szumowiny, zwykle niezbyt długo zdołały pozostawać w tym biznesie.

Jeśli jednak ktoś taki jak Reivers z ugruntowaną pozycją i mocnymi powiązaniem zdecydował się robić fortunę na cierpieniu i śmierci śmiertelnych, to ile niewinnych istnień będzie wolno mu skraść i zniszczyć, zanim ktoś odważy się go powstrzymać?

To były tak niepokojące myśli, że zmusiły Danikę do wybrania na swojej komórce

długiego i skomplikowanego numeru do Stanów, gdy następnego ranka siedziała w kawiarni w Edynburgu. - Gideon, tu Danika - powiedziała do wojownika na drugim końcu linii, która znajdowała się w Bostonie.

- Hej - odpowiedział. Brytyjski wampir zarządzał ośrodkiem dowodzenia w Centrali Zakonu.- Wszystko w porządku? Potrzebujesz czegoś? Mam nadzieję, że w Danii nie ma żadnych problemów.

Zwykle bardzo energiczny i obdarzony cierpkim poczuciem humoru Gideon, dzisiaj był powściągliwy, a w jego głosie pobrzmiwało jakieś dziwne napięcie.

- Czuję się dobrze, a w Danii wszystko jest ok - powiedziała. Ale prawdę mówiąc teraz jestem w Szkocji. Zdecydowałam, że miło będzie spędzić wakacje razem z Connorem tu w Endeburgu.

- Ach. To dobrze. W jego odpowiedzi dało się usłyszeć westchnienie ulgi - Co słyszeć u twojego małego mężczyzny?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy pomyślała o swoim słodkim, malutkim chłopczyku. Dzisiejszego ranka, znowu został w domu z Emmą, podczas gdy Danika przyjechała do miasta, by w ciągu dnia załatwić codzienne sprawunki. Jej syn pochodził z Rasą; dla niego i reszty jego rodzaju, światło słoneczne było śmiertelnym zagrożeniem. - Connor jest wspaniały i cały czas rośnie. Już jest bardzo podobny do swojego ojca. Spokojny i dobroduszny. To błogosławieństwo, że go mam.

- Dobrze słyszeć, że u was jest wszystko w porządku - w krótkiej pauzie, która nastąpiła po tych słowach wojownika, słyszeć było pytanie. - Ale przecież to nie jest powód, dla którego dzwonisz, nieprawdaż?

- Nie - potwierdziła. Ponieważ do środka napłynęła świeża fala klientów, by złożyć

swoje zamówienia, Danika wstała od swojego stolika i wyszła na zewnątrz, by mieć chwilę prywatności. - Czy wiesz coś na temat wampira z okolic Edynburga o nazwisku Reiver?

- Pozwól mi sprawdzić w rejestrze IID - w tle zabrzmiał klekot klawiatury, gdy Gideon dobrał się do Międzynarodowej Bazy Identyfikacji Rasy. - Nie ma tu zbyt wiele na jego temat. Wygląda, że żyje od siedemnastego wieku. Obecnie posiada kilka posiadłości w górzystym terenie Północnej Skocji i jakieś przedsiębiorstwa w okolicach Edynburga.

- Jaki to rodzaj przedsiębiorstw?

Przeszła na drugą stronę ulicy i zmierzała do samochodu pożyczonego jej na czas dnia przez rodzinę Conlana. - Nic niezwykłego?

- Spółki importowo-exportowe, parę sklepów z antykami. I prywatny klub dla dżentelmenów w South Bridge http://maps.google.co.uk/maps?q=south+bridge+edinburgh&um=1&ie=UTF-8&hq=&hnear=0x4887c785bbf67881:0xf4a1144401a1b635, South+Bridge,+Edinburgh&gl=uk&ei=ekb3TrOrMcaw8gPor-i9AQ&sa=X&oi=geocode_result&ct=title&resnum=1&ved=0CCsQ8gEwAA . Ten lokal pojawił się i został zarejestrowany w połowie ubiegłego wieku.

Znała tę okolicę, była to popularna, zabytkowa część Starego Miasta, teraz wypełniona sklepami dla turystów i pubami. Była w odległości tylko kilku przecznic od tego miejsca.

Danika wsiadła do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce.

- Gideon, czy masz nazwę i adres tego klubu.

Jego odpowiedź nadeszła w formie przedłużającego się milczenia. Po czym zapytał

- O co, tak naprawdę w tym wszystkim chodzi, Daniko? Chyba nie jesteś wobec mnie do końca szczerą.

Poinformowała go o incydencie na wczorajszym przyjęciu, w tym o strzępie rozmowy, który przypadkiem usłyszała. - Nie mogę mieć pewności, ale przypuszczam, że on mówił o ludzkim ładunku, Gideonie.

- Jezu - wysyczał wojownik na drugim końcu linii. - A ty chcesz się znaleźć w zasięgu rąk tego faceta? Chyba nie muszę cię informować, co Conlan powiedziała na ten temat...

- Con nie żyje. A mnie nie stało się nic złego. Chciałam tylko powiadomić ciebie i resztę Zakonu, żebyście mieli świadomość tego, co się tutaj dzieje.

- Bardzo dobrze, że to zrobiłaś - powiedział. - Ale teraz zrób nam wszystkim przysługę i trzymaj się jak najdalej od tego wszystkiego. - My ze swojej strony przyjrzymy się bliżej panu Reiverowi. Nie wspominaj o tym nikomu... nawet Agencji Nadzoru. Cholera, szczególnie im. Biorąc pod uwagę jak teraz przedstawiają się sprawy, musimy zakładać, że nikomu nie można ufać.

- Jest aż tak źle?

- Nie jestem pewien i to niestety jest jeszcze gorsze - wyjątkowo poważny ton głosu Gideona przybrał jeszcze mroczniejszy odcień. Pomimo, że przez ten czas, gdy przebywała z dala od Zakonu była odseparowana od ich codziennych operacji, to wciąż pozostawała w kontakcie ze swoimi starymi przyjaciółmi i zdawała sobie sprawę, że byli wplątani w wojnę z potężnym wrogiem o imieniu Dragos. Fakt, że Gideon nie był teraz w stanie lekko traktować tej walki, ani w jakiś sposób złagodzić jej niepokoju, mogło oznaczać tylko złe wieści.

- Lokalizacja siedziby Zakonu została odkryta. Jesteśmy w trakcie ewakuacji do tymczasowej centrali, ale cały plan bardzo się skomplikował wczoraj wieczorem, ponieważ dziecko Dantego i Tess urodziło się przed planowanym terminem.

Danika bardzo by chciała cieszyć się szczęściem Dantego i jego Dawczyni Życia, której do tej pory jeszcze nie spotkała, ale była częścią Zakonu wystarczająco długo by rozumieć, że nowo narodzony był zarówno błogosławieństwem, jak i ciężarem dla grupy wojowników, którzy żyli... i czasami umierali ... po to żeby uczynić świat lepszym miejscem.

- Jakby tego było mało - ciągnął dalej Gideon. - Jeden z naszych gdzieś zaginął. Chase nie wraca już od kilku nocy. Biorąc pod uwagę to, co ostatnio się z nim działo, wszyscy obawiamy się, że straciliśmy go z powodu Żądy Krwi.

- Tak mi przykro - powiedziała. Nigdy by nie zgadła, że ten najsztwniejszy ze wszystkich wojowników, trzymający się ściśle zasad, egzekutor prawa Rasy, mógłby być kimś, kto padnie ofiarą nieodwracalnego uzależnienia od krwi. W świetle tego wszystkiego, z czym zmagał się teraz Zakon, pożałowała, że niepokoiła ich swoimi podejrzeniami na temat takiego drobnego, lokalnego gangstera jak Reiver. - Tak pragnęłabym być tam z wami wszystkimi, Gideonie. Szkoda, że nie mogę wam pomóc.

- Nie martw się o nas. Dbaj o siebie, rozumiesz?

Słyszała, jak pisał coś jeszcze na klawiaturze w swoim laboratorium. - Czy chcesz żebym kogoś do ciebie wysłał? Reichen jest na misji w Europie, ale jeśli powiesz tylko słowo, to wiem, że Lucan pchnie go do...

- Nie - powiedziała, wyjechała na prostą, brukowaną ulicę i powoli posuwała się wzdłuż mieszanej kolekcji, jaką stanowiły budowle z ery wiktoriańskiej, oraz ceglane i współczesne witryny sklepowe, które stały wzdłuż South Bridge - To nie jest

konieczne, Gideonie. Mam się doskonale. Nie powinnam była zawracać ci głowy.

- To żaden kłopot, Daniko. Jesteś naszą rodziną, zawsze będziesz. Wszyscy czujemy to w ten sposób.

- Dziękuję ci - odpowiedziała, czując ciepło płynące z jego słów. - Muszę już kończyć.

- Trzymaj się z daleka od kłopotów - przestrzegł ją z powagą. - A jeśli będziesz czegoś potrzebowała bezzwłocznie skontaktujesz się z nami. Zgoda?

- Tak właśnie zrobię - powiedziała mu na pożegnanie i skończyła rozmowę, właśnie wtedy, gdy GPS samochodu ogłosił, że dotarła do swojego celu.

Pomimo, że Gideon nie podał jej adresu, gdy go poprosiła, to jego umysł zareagował na jej talent. Budynek, w którym znajdował się klub Reiversa nie miał żadnego oznakowania, tylko krwawoczerwone drzwi z mosiężną kołatką o kształcie wilczej głowy.

Danika wjechała w boczną uliczkę, gdzie mogła zaparkować, po czym wróciła z powrotem, żeby dokonać dokładniejszych oględzin. Nie powinna ulegać pokusie, by próbować otworzyć główne drzwi, ale nie mogła powstrzymać się przed nieśmiałym naciśnięciem zimnej metalowej klamki.

Budynek nie był zamknięty na klucz. Dziwne. Chyba że w interesie Reivera było zachęcanie zbłąkanych gości do wejścia. Pchnęła ciężkie drzwi i wsunęła się do ciemnego przedsionka. Wewnętrzne okiennice były zablokowane na dzień, gdy zamknęła za sobą drzwi, wewnątrz rozświetlało tylko miękkie światło ze ściennych kandelabrow.

Nie zawracała sobie głowy wołaniem w mrok, by sprawdzić, czy ktoś tam był.

Wszystko, czego chciała to szybkie spojrzenie, żeby potwierdzić, albo uwolnić się od podejrzeń, jakie miała w stosunku do Reivera.

Zaryzykowała, weszła dalej w głąb i spróbowała otworzyć jedne z wewnętrznych drzwi w tylnej części przedsionka. Te były solidnie zamknięte, zaryglowane. Inne drzwi wydały się prowadzić na klatkę schodową, ale te również były zamknięte na klucz. To byłoby na tyle, jeśli chodzi o szybkie rozejrzenie się.

Danika uwolniła wstrzymywany oddech, ale znowu gwałtownie go wessała, gdy usłyszała poruszenie gdzieś wewnątrz budynku.

Nie była tu sama.

Obróciła się i rzuciła się z powrotem w kierunku drzwi wejściowych, które teraz okazały się zatrzaśnięte. Miała trudności z klamką, która ani nie drgnęła mimo, że mocno nią szarpała. - Niech to szlag!

- Czy ty, do cholery w ogóle myślisz, co robisz?

Danika obróciła się z nagłym sapnięciem. To był on.

Nie Reiver, ale jego przerażający ochroniarz z grzywą niesfornych brązowych włosów i surową twarzą skazoną bliznami. Dziś nie miał na sobie ciemnego płaszcza ani broni.

Teraz stanął przed nią ubrany tylko w luźne dżinsy i z bosymi stopami, wyglądając jakby właśnie podniósł się z łóżka. To ją wstrząsnęło, widok jego nagiego muskularnego torsu i silnych ramion. *Derma*glify Rasy biegły przez tułów i znaczyły jego umięśnione ramiona wirującymi spiralami i ozdobnymi łukami. Kiedy ruszył w jej stronę, kolor tych genetycznych oznaczeń skóry przeszedł ze złotego, zbliżonego

do koloru jego ciała, w ciemniejsze tony, które nadała im jego irytacja.

Zbyt długie włosy opadły mu nisko na oczy, ale nie musiała widzieć jego zwięzłego spojrzenia, żeby wiedzieć, że skupiło się na niej wyrażając narastający, niebezpieczny gniew.

Oderwała od niego wzrok, rzucając pełne niepokoju spojrzenie na zamknięte drzwi za jej plecami.

To miejsce nie jest dla ciebie, dziewczyno.

Może to było spowodowane faktem, że nie patrzyła na niego, gdy wypowiedział to zdanie... ale gdy nazwał ją dziewczyną... zdała sobie sprawę, że wie do kogo należy ten szorstko-aksamitny głos. Słyszała go w swojej głowie na przyjęciu, gdy wysłał jej łajacą myśl za podsłuchiwanie Reivera. Jednak nie ujawnił jej przed nim, mimo że miał doskonałą okazję, by to zrobić.

I było w nim coś znajomego, teraz to zauważyła.

Coś, co przemawiało do niej... z odległego, a mimo to niezapomnianego miejsca w przeszłości.

Spojrzała na niego jeszcze raz, próbując dostrzec twarz za zarośniętą szczęką i bitewnymi bliznami. Twarz, która kryła się za gęstymi, opadającymi kosmykami jego włosów. - Czy ja cię znam?

- Nie.

Jego szorstka odpowiedź powinna wystarczyć, by ją przekonać. Zamiast tego sprawiła tylko, że jej spojrzenie stało się jeszcze bardziej badawcze. Wpatrywała się w niego, próbując nadać sens temu, co podpowiadały jej instynkty. - Mal ...?

Twarde linia jego ust stała się jeszcze bardziej zaciśnięta, trudna do odczytania.

- Mam na imię Brannoc.

Ona tak nie sądziła, pomimo nieprzystępnego, gniewnego spojrzenia, którym ją przyszpilał. - Brannoc, a co dalej?

Gdy nie odpowiedział, zaczęła z innej beczki.- Wczoraj wieczorem Reiver nazwał cię Brandogge. *(w języku angielskim „r” jest bezdźwięczne więc brzmienie tych słów jest identyczne ;)* <http://www.google.co.uk/imgres?imgurl=http://www.gotdogsonline.com/american-bandogge-mastiff-pictures-breeders-puppies-rescue/pictures/american-b> Czy tym właśnie dla niego jesteś, jego osobistym psem obronnym?

- Gdy to jest konieczne.

Zrobił krok do przodu, a bryła jego olbrzymiego ciała sprawiła, że przycisnęła plecy do drzwi. Zaśpiew jego szkockiego akcentu pogłębiał się z każdą sylabą. - To, że tu przyszedłeś było bardzo niemądre z twojej strony. Wdarłeś się na prywatny teren, a mój pracodawca nie toleruje intruzów w miejscu, gdzie prowadzi swoje interesy.

Im bliżej do niej podchodził, tym więcej powietrza zdawało się być wysysane z pomieszczenia, w którym się znajdowali. Był żarem, niebezpieczeństwem i mroczną groźbą, burzą zmuszającą ją do odwrotu. Danika wytrzymała jego palące spojrzenie, teraz pomiędzy nimi pozostało zaledwie kilka cali odległości - Tylko jakiego rodzaju są te interesy?

Nie odpowiedział, jedynie bardziej się do niej zbliżył, jego szare, spizowe oczy rzucały iskry przez kurtynę opadających kosmyków ciemnych włosów.

- Reivers prowadzi klub krwi, prawda. - To nie było pytanie, ponieważ jej

wcześniejsze podejrzenie zamieniło się teraz w zimną pewność, która osiadła w jej żołądku jak lód. - Wiesz o tym, a mimo to możesz mu służyć? Co za człowiek może dobrowolnie chronić kogoś takiego jak Reiver i przemykać oczy na sposób, w jaki ten zarabia na życie?

- My wszyscy dokonujemy w swoim życiu jakichś wyborów. Często robimy to, co musimy.

- Kosztem swojego honoru? - Zapytała z żarem. - Nawet kosztem utraty własnej duszy?

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Po czym zamek w drzwiach za jej plecami odblokował się z nagłym metalicznym kliknięciem, co sprawiło, że nerwowo podskoczyła. - Dziewczyno wracaj tam, gdzie jest twoje miejsce.

Nie ruszyła się. Teraz już nie dbała o to, czy kiedykolwiek go znała, czy był tylko psem stróżującym, wynajętym przez zbira, który handlował żywym towarem. Pogarda dla tego, na co się godził... co był w stanie akceptować... wzbudziła w jej żyłach iskrę wyzwania. - Jeśli myślisz, że tak po prostu odejdę i nic z tym nie zrobię, to jesteś w błędzie. Nie będę milczeć, wiedząc, że cierpią niewinni ludzie...

Warknięcie, które usłyszała w odpowiedzi, spowodowało, że nie dokończyła tego, co miała powiedzieć. - Ależ tak, do cholery będziesz *milczeć*.

Nagle została przyciśnięta do rzeźbionych paneli drewnianych drzwi, jego ciało parzyło ją we wszystkich tych miejscach, w których się stykali. A było tych miejsc więcej niż zdołałaby policzyć. Czuła każdy kontur tego muskularnego ciała, od mocnych płaszczyzn jego nagiej klatki piersiowej i stalowych mięśni brzucha, do porażająco pobudzającego żaru lędźwi i potężnych, silnych ud. - Będziesz cicho - rozkazał jej stanowczo, pełne wargi ukrywały jego zęby i kły. Teraz w jego oczach szalał ogień, ale w tym wściekłym wzroku było coś więcej niż tylko furia i groźba. W

jego twardym spojrzeniu krył się niepokój. Obawa granicząca z rozpaczą. -
Nikommu nic nie powiesz, Daniko. Rozumiesz?

Gapiała się na niego, uświadamiając sobie w końcu skąd go znała. To było bardzo stare wspomnienie... tak stare jak jej miłość do Conlana. A może nawet jeszcze starsze, ponieważ znała tego mężczyznę jeszcze dłużej. Kiedyś kusilo ją nawet, by oddać mu serce, gdyby nie obawa, że pewnego dnia odnajdzie je zgniecione jego obcasem. - Och, mój Boże - wyszeptała, wyciągając dłoń, żeby dotknąć naznaczonej walką twarzy, która kiedyś była taka przystojna i zuchwała. - Czy to naprawdę jesteś ty...?

Nie pozwolił jej palcom muskać swojego policzka dłużej niż przez chwilę. Jego uścisk był stanowczy, usta ponure, lekko potrząsnął głową.

Danika nie mogła złapać tchu. Miała wrażenie, że została powalona na ziemię, a zarazem unosi się wysoko w powietrzu. Zalała ją plątanina emocji, gdy walczyła o to żeby zaakceptować to, co widziała i czuła w tym momencie.

Ale podczas, gdy ją zalewało zmieszanie i pełne nadziei poczucie ulgi, mężczyzna, o którym wiedziała, że jest Malcolmem MacBainem całkowicie się kontrolował. Chłodny i powściągliwy, zupełnie pozbawiony delikatności, ujął jej dłoń, poprowadził ją z powrotem w dół, do jej boku i tam ją przytrzymał. - Zapomnij o tym, co usłyszałaś. Zapomnij o Reiversie. - Puścił ją, ale jego oczy wciąż więziły ją swoim wnikliwym spojrzeniem. - O mnie też zapomnij. - Sięgnął za jej plecy i nacisnął klamkę w drzwiach wejściowych do klubu. Uderzył w nich podmuch zimnego, grudniowego wiatru. Uliczny hałas uliczny, nieproszony wybawca, wyrwał Danikę z otępienia, które dopadło ją, kiedy podniosła wzrok na kogoś, kogo kiedyś uważała za ukochanego przyjaciela, ale kto teraz był dla niej gorzej niż obcy.

- Idź już - powiedział i cofnął się, by zrobić jej miejsce, a także uciec od bladego

światła dnia wpadającego do przedsionka.

Danika spojrzała na niego jeden, ostatni raz, szukając słów, które nie przychodziły. Po chwili odwróciła się i sztywno pomaszerowała z powrotem w uliczny zgiełk.

TŁUMACZENIE wykidajlo

BETA xeo222



ROZDZIAŁ 3

- Szef chce cię widzieć w swoim biurze, Bron. Nie wygląda na szczęśliwego. Than, który był kolejnym strażnikiem z osobistej ochrony Rivera, oparł się o futrynę drzwi prowadzących do znajdującej się w klubie kwatery Brana. Wampir był zbudowany jak czołg, wysoki i ogromny. Masywne bary i ramiona napinały materiał ciemnego garnituru, w który wcisnął swoje, szczelnie wypełniające otwór drzwiowy cielsko. Dziś wieczorem, jego sięgające ramion czarne włosy zostały zebrane w krótki kucyk. Spod ostrego V, które tworzyły jego hebanowe brwi, jego bystre, chłodne, zielone oczy jastrzębia obserwowały Brana podczas, gdy ten czyścił parę swoich Glocków S 20

Broń tego nie potrzebowała, ale gdyby Bran nie znalazł jakiegoś zajęcia dla rąk, mógłby zdzielić kogoś pięścią. Począwszy od łajdaka, dla którego pracował. Poświęcając całą uwagę swojej broni, gdy sięgał po drugi pistolet spod oka zerknął na Thana. - Powiedz szefowi że będę u niego za minutę.

- Mam go prowokować, żeby zastrzelił posłańca? - Mimo, że tym słowom towarzyszył niski, chrapliwy chichot, to w bystrych oczach Thanana nie było odrobiny humoru. - To ty masz jakiś problem z Mr. Reiverem, więc radź sobie z nim sam, chłopie.

Bran wyćwiczonym ruchem sprawdził oba swoje pistolety, po czym wcisnął je w kabury, których paski krzyżowały się na jego piersi okrytej grafitowo-szarą koszulą. - Nie mam z nim żadnych problemów.

- Jesteś tego pewny? - Than wpatrywał się w niego, pozwalając temu pytaniu zawisnąć pomiędzy nimi.

W ciągu tych siedmiu miesięcy, które upłynęły od chwili, w której Bran zatrudnił się u Reivera, Than okazał się najtrudniejszy do rozszyfrowania ze wszystkich strażników. Nieustępliwy, bystry, hardcorowy, kiedy zaszła taka potrzeba. Gdyby ktokolwiek mógł wątpić w prawdziwe motywy Brana, jeśli chodziło o Reivera, to bez wątplenia byłby to ten Anglik.

Bran wstał, przeszedł przez mały pokój i z oparcia drewnianego krzesła chwycił swój ciemny płaszcz. Czuł na sobie wzrok Thanana, kiedy go zakładał, uzupełniając nim swój ochroniarski uniform i przygotowywał się, by stanąć przed swoim pracodawcą.

- Nie wiem jak ty to wytrzymujesz, chłopie. To ciągle, dzień za dniem mieszkanie tu w klubie. - Than badał go wzrokiem. - Czy nie masz własnego miejsca, ani rodziny, która mogłaby cię przygarnąć?

Bran obrzucił mdłym spojrzeniem wąskie łóżko i skąpe wyposażenie pokoju, który był jego domem odkąd dołączył do ekipy Reivera. Wzruszył ramionami. - Mam

gdzie położyć głowę. Teraz nie potrzebuję niczego więcej.

Nie, dopóki nie dostanie tego, po co tu przyszedł... zemsty.

Wtedy, być może wróci do swojego prawdziwego domu. Próbując znaleźć jakiś sposób, by od nowa zacząć swoje życie. W tym pustym miejscu, w którym Reiver nie pozostawił niczego oprócz śmierci.

Przeciskając się obok Thana, wyszedł na korytarz. - Nie mówił ci czego chce?

- Nie. Kazał tylko cię znaleźć i przysłać do niego. - Potężny ochroniarz skrzyżował ramiona na piersi. - Lepiej żebyś nie miał niczego do ukrycia.

Branon zlekceważył to ostrzeżenie i podążył przez główne piętro klubu, przez salon dla jego członków i pomieszczenie, gdzie stały stoły do gry, w którym kilku niedawno przybyłych najbogatszych klientów Riwera, rozpoczynało właśnie swoje nocne debaty i dokonywało transakcji w celu dyskretnego zaaranżowania najbardziej rozpasanych rozrywek.

Biuro Reiversa znajdowało się na górze, elegancki apartament zajmował całe trzecie piętro budynku. Para wampirów czuwająca pod drzwiami powitała go obojętnym skinieniem głów.

Wszedł i znalazł Reivera stojącego przed ogromnym monitorem o płaskim ekranie, w dłoni dzierżył on pilota.

- Posyłałeś po mnie?

- Owszem.

To słowo przypominało syk. Gdy Reiver obrócił głowę, aby na niego spojrzeć, na jego twarzy widniał wyraz silnego niezadowolona. - Właśnie mnie poinformowano, że ponad godzinę nagrania z kamery nadzorującej wewnątrz klubu, jest całkowicie zniszczone.

- Naprawdę? - Bran udał zaskoczonego, chociaż to on był tym, który własnymi rękami zniszczył nagranie z monitoringu. Zaraz po wyjściu Daniki z budynku. Reiver warknął. - Jaki jest sens trzymania psa obronnego, jeśli on nie pilnuje przez cały czas tego, co się dzieje w tym miejscu?

Odłożył pilota na biurko, jego ruchy były zbyt wyważone. Był zbyt spokojny, by można było mu ufać. - Czy nie wydarzyło się dzisiaj nic niezwykłego, Brandogge (*pies obronny*)?

Bran zjeżył się słysząc to przezwisko, ale nawet nie drgnął. To był kolejny sposób Reivera na sprawdzanie go; prowokowanie do ukazania prawdziwego oblicza.

- Mieliśmy dziś rano gościa - powiedział. Nie było żadnego sensu w zaprzeczaniu temu o czym, jak podejrzewał Reiver już dawno wiedział i tylko wystawiał na próbę jego lojalność. - Kobieta z przyjęcia, na którym byliśmy ostatniej nocy.

- Danika MacConn.

Brzmienie jej imienia na ustach Reiversa spowodowało, że tętno Brana przyspieszyło z powodu silnej pogardy, której bardzo mocno starał się nie okazać.

- Przeprowadziłem małe śledztwo na własną rękę, po tym jak Thane wydobyl kopię zapasową porannego nagrania z kamery w przedsiionku. Chciałbyś to zobaczyć?

Brannon nonszalancko potrząsnął głową, potwierdziło się jego podejrzenie o tym, że jest testowany i oceniany. Pewnie każe Anglikowi wepchnąć go pod autobus.

Ale co było jeszcze gorsze, to fakt, że dzisiejsza wizyta Daniki w klubie, tylko zwiększyła zainteresowanie Reivera jej osobą.

- Zdaje się, że ta wścibska suka jest w Szkocji tylko tymczasowo, zatrzymała się w małym domku nad rzeką na ziemiach MacConnów.

Jezu Chryste. Wiedział, gdzie była Danika i jak ją znaleźć. Szczegóły, które w rękach takiego łajdaka bez serca, jakim był Reiver, mogły być bardziej niż niebezpieczne.

- Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego węszyła dzisiaj koło mojego biura?

Bran lekceważąco wzruszył ramionami. - Ona nie powiedziała czego tu szuka, ale ponieważ widziałeś nagranie z kamery, wiesz, że nie dostała się zbyt daleko. I na pewno w najbliższym czasie tu nie wróci. A po tym jak ją potraktowałem, nie sądzę, żeby sprawiała ci dalsze problemy.

- Nie - rzucił zbyt szybko Reiver. - Nie, jestem pewny, że nie będzie. Kilka minut temu postarałem się o to.

Cała krew z głowy Brana uciekła mu w jednej chwili, zimnym strumieniem w podeszwy stóp. Wytrzymał badawcze spojrzenie swojego pracodawcy uważając, by nie zdradzić odrobiny strachu, który odczuwał. - Co masz na myśli mówiąc, że tego dopilnowałeś?

- Wysłałem moich ludzi na ziemię MacConnów, by zajrzeli do tej kobiety. Jestem pewny, że oni będą umieli ją przekonać, iż będzie dla niej lepiej, jeśli będzie trzymać się z daleka od moich spraw. Niestety Edynburg może okazać się bardzo niebezpiecznym miejscem dla upartej kobiety.

- Kogo do niej posłałeś? - Te słowa ledwo przedarły się przez wysuszone gardło Brana, a kiedy czekał na odpowiedź, jego kończyny były sztywne ze zdenerwowania.

- Kerra i Packarda.

Dwóch najbrutalniejszych z jego małej armii. Podczas gdy Thane, lub inni mężczyźni z Rasy pracujący dla Reivera byli groźni na swój sposób, to dla Kerra i Packarda zarezerwowane były tylko te najpaskudniejsze rzeczy. Byli egzekutorami Reivera, wysyłanymi, gdy chciał wymusić na kimś swoją wolę w najbardziej brutalny sposób.

To wszystko sprawiło, że Bron robił wszystko co mógł, żeby nie skoczyć na Reivera i tu i teraz nie wyrwać sukinsynowi gardła. Ale zabicie go w tym momencie nie oszczędziłoby bólu Danice, oprawcy już byli w drodze. Później znajdzie czas na rozliczenie się z Reiverem... czas na zrealizowanie swojej, tak długo planowanej zemsty.

W tej chwili, wszystkim co się liczyło było dotarcie do Daniki. Zanim Kerr i Packard mieli okazję, żeby uczynić najgorsze.

Bran odchrząknął, by zerwać z gardła lodowaty węzeł, który się tam usadowił.

- Jeśli nie ma już nic, czego potrzebowałbyś ode mnie...

- Nie - odpowiedział Reiver, spokojnie i beznamiętnie, pomimo faktu, że prawdopodobnie wydał rozkaz wykonania wyroku śmierci na niewinnej kobiecie. - To na razie wszystko, Brandogge. Dam ci znać, jeśli będę czegoś potrzebował.

Bran pochylił głowę, po czym obrócił się i wyszedł. Kiedy podążał z powrotem na swoją kwaterę, przez tętniący teraz życiem klub, każdy spokojny krok był testem jego samokontroli.

Musiał się stąd wydostać. Musiał dotrzeć do Daniki i to jak najszybciej.
Szlag, już mogło być za późno.

Kiedy opuścił hol i wyszedł do pustego przedpokoju, jego kroki przyśpieszyły. Niepokój i wściekłość szarpnęły jego wnętrznościami, gdy pomyślał o tym, że Reiver mógłby tknąć kogoś, o kogo się troszczył. Nie mógł powstrzymać się od przekleństwa, które wyfrunęło z pomiędzy jego zębów, a pojawiających się kłów.

- Wnoszę, że nie poszło zbyt dobrze.

Bran zatrzymały się i rzucił Thanowi gniewne spojrzenie przez ramię. Ochroniarz stał za nim w przedpokoju, jedno muskularne ramię miał oparte o ścianę, ogromne stopy skrzyżował w kostkach. Jego postawę można było opacznie wziąć za znudzoną, gdyby nie podejrzany błysk w jego oczach.

- Było coś nie tak z nagraniem kamery monitorującej. Ale zgaduję, że już o tym wiesz - powiedział Bran, powściągając swój niepokój i gniew, by wyglądały na silną frustrację. Wiedział, że czasami najlepszą obroną jest atak. - Dzięki, za niepowiedzenie mi o tym, że szef ma zamiar skopać mi dupę.

- Mówienie ci o tym nie należy do moich obowiązków - zripostował Thane.

- Idziesz do pokoju ochrony, żeby spojrzeć na nagranie?

- Taaa. - Bran skinął głową, dobrze wiedząc, że na parterze budynku też było tylne wyjście.

Thane odepchnął się od ściany i ruszył w jego stronę. - Pójdę z tobą.

- Chyba jak na jedną noc, dosyć mi już napomagałeś, nie sądzisz? - zakpił Bran.

- Dlaczego nie zrobisz czegoś pożytecznego i nie pošlesz szefowi kilku dziewczyn, kaź im dobrze się nim zająć, tak żeby go naprawdę uszczęśliwiły. Wybierz te najlepsze, z najbardziej utalentowanymi ustami. Może jeśli znajdziemy mu jakieś zajęcie, to będziemy mieli spokój przez resztę nocy.

- Thane spojrział na niego z uśmiechem. - Dobra Bran. Rób, co musisz. A ja zajmę się Mr. Riverem.

W innej sytuacji Bran mógłby kwestionować tę enigmatyczną odpowiedź, ale w tym momencie cała jego uwaga skoncentrowana była na jednym zadaniu. Skierował się w stronę sali monitoringu, a kiedy zbliżył się do tylnego wyjścia, rzucił za siebie szybkie spojrzenie. Przedpokój był pusty. Thane już wyszedł.

Brannon pchnął drzwi i wyszedł w zapierający dech w piersiach zimowy chłód. Wzięcie jakiegoś samochodu z kolekcji Reiversa, było zbyt ryzykowne i nie można było mieć nadziei, że zostanie niezauważone. Poza tym pochodził z Rasy. Na piechotę dotrze tam, gdzie planował, nawet szybciej niż samochodem.

Przywołał nadnaturalną prędkość, którą zapewniały mu jego pochodzące z Rasy geny i zniknął w ciemnościach nocy.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA *xeo222*



ROZDZIAŁ 4

Danika wstała z fotela bujanego i ostrożnie, żeby go nie zbudzić, delikatnie ułożyła drobne ciało Connora w gniazdku z koców w jego dzieciennym łóżeczku. Kiedy spał syty po wieczornym karmieniu z jej nadgarstka, jego buzia była tak niewinna jak u cherubinka. Upajała się tymi czułymi, słodkimi chwilami spędzonymi ze swoim dzieckiem.

Patrząc, jak ten maleńki tobołek mości się pośrodku delikatnego dzieciennego łóżeczka, łatwo było zapomnieć o tym, że pewnego dnia stanie się gwałtowny i prawie niezniszczalny. Tak śmiały i odważny, jak karze mu być płynąca w jego żyłach szlachetna krew Rasy. Już niedługo, w wieku pięciu, sześciu lat Conor stanie się na tyle silny, by samodzielnie polować. Minie może jeszcze jedna, krótka dekada i osiągnie swój pełny wzrost, stanie się śmiertelnie niebezpiecznym mężczyzną Rasy, gotowym odcisnąć na tym świecie swoje własne piętno. Może zaakceptuje życie cywila, może znajdzie Dawczynię Życia, która da mu synów i wieki spokojnego życia... a może pójdzie w ślady ojca, poświęcając się bardziej szlachetnym celom? W głębi swojego serca, Danika знаła odpowiedzi na te pytania, chociaż trudno jej było je zaakceptować. Za każdym razem, gdy Connor ścisnął jej palec w swojej maleńkiej piątce, jego niewinne oczy były przepełnione dziwną mądrością, zbyt niezgłębioną, by jego matka mogła zachować spokój ducha. Wiedziała, że jej syn będzie wojownikiem, tak samo jak jego ojciec.

A myśl, że jego może również pewnego dnia stracić sprawiała, że coś w niej

umierało.

Danika złożyła delikatny pocałunek na aksamitnej główce Connora i odeszła od łóżeczka pozwalając mu spać. Zabrała pusty kubek po herbacie ze stołu obok bujanego fotela, po drodze zgaszyła lampę. Kiedy cicho zamykała drzwi jej spojrzenie utkwione było w dziecku.

Jeszcze zanim się odwróciła, zdała sobie sprawę, że ona i Connor już nie są sami.

- Miła maleńka chatka - powiedział jeden z dwóch wampirów, którzy nagle pojawili się w pokoju dziennym niewielkiego domku. - Przytulna, co nie, Kerr?

- I z dala od ludzi - mruknął jego towarzysz o lisim spojrzeniu, które było bardziej przerażające niż oczywista przemoc.

Jej palce zacisnęły się wokół porcelanowego kubka. Nie było trzeba zbyt długo się zastanawiać nad tym w jaki sposób ta dwójka się tu dostała. Zamknięte na klucz drzwi nie były żadną przeszkodą, jeśli pochodzący z Rasy wampir chciał znaleźć się po drugiej stronie, wystarczyło, że przez sekundę użył siły swojego umysłu. Co do tych dwóch zbirów, to z ich ośnieżonych butów kapiała woda, a ze wszystkich porów pary ogromnych ciał emanowało mroczne zagrożenie. Nie było wątpliwości do kogo należeli.

Reiver.

Nie po raz pierwszy tego dnia, Danika pożałowała swojej wizyty w jego prywatnym klubie. Wciąż była chora z powodu odkrycia, że ktoś, kogo kiedyś znała... kogo darzyła sympatią... mógł stać się częścią tak nikczemnej organizacji, jak ta należąca do Reivera. Jakkolwiek Malcolm MacBain teraz siebie nazywał i jakie by nie były powody, dla których zdecydowany był zaprzeczać swojej własnej

tożsamości, nie oszukał Daniki. Nawet blizny, które oszpeciły jego twarz nie wystarczyły, by przekonać ją, że jest kimś innym niż Malem. Ale twarz i imię mężczyzny zapamiętanego z przeszłości nie należały już do obcego człowieka, którym teraz się stał.

I kiedy tak stała naprzeciwko tych dwóch przerażających intruzów, jakaś jej cząstka zastanawiała się, czy to na pewno Reiver był tym, który ich na nią nasłał, a może zrobił to jego wierny pies stróżujący, mieszkający w klubie, który domagał się od niej milczenia z zimną furią, która wstrząsnęła nią do głębi. - Czego chcecie? - Zapytała, z podniesioną głową stawiając czoła zagrożeniu, chociaż drżały jej nogi.

- Mr. Reiver poprosił żebyśmy złożyli ci wizytę - odpowiedział ten zwany Kerrem. Jego ogromne dłonie odziane były w czarną skórę, w złowieszcze rękawiczki z jednym palcem, wyglądały na wystarczająco wielkie, by zmiażdżyć jej czaszkę. - On chce byś wiedziała, że w twoją stronę nadciąga burza. Sądzi, że kiedy nadejdzie będzie dla ciebie lepiej, jeśli cię tu nie będzie, zrozumiano?

- Kiedy ci dwaj ruszyli w jej stronę, Danika przesunęła z dala od drzwi do sypialni, gdzie spał Connor. Cokolwiek miałyby się stać z nią dzisiejszej nocy, nie chciała dać im jakikolwiek powodu do przeszukiwania reszty maleńkiego domku.

- Według opinii Mr. Reivera, jeśli będziesz chciała przedłużyć swoją wizytę, Edynburg może okazać się dla ciebie bardzo niegościnnie.

Podczas, gdy Kerr mówił, drugi zbior ustawiał się na jej drodze, blokując ją gdyby zamierzała uciekać. - Mój kolega po fachu Mr. Packard i ja mamy pomóc ci opuścić Szkocję. Jeśli pójdziesz teraz z nami, unikniesz bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

- Bolesnej sytuacji - dodał drugi wampir, jego wargi rozciągnęły się w mrozącym krew w żyłach uśmiechu, obnażając białe, spiczaste kły.

Ich umysły były czarne od okropnych zamiarów, myśli tak brutalnych, że z trudnością mogła oddychać, kiedy bliżej im się przyjrzała. Nie potrzebowała swojego pozazmysłowego talentu, by zrozumieć, że jej szanse na przeżycie tej konfrontacji nie były zbyt duże. Nawet, gdyby zgodziła się pójść z nimi i przysięgła nigdy nie wymówić imienia Reivera do innej żywej duszy, wiedziała, że podróż i tak skończyłaby się jej śmiercią.

Myśl, że Connor ma zostać bez swojego jedyne rodzica albo jeszcze gorzej, razem z nią zostanie wciągnięty w ten beznadziejny scenariusz, była kroplą przepelniającą kielich. Cisnęła ciężki kubek w Packarda i w chwili, gdy jego uwaga została rozproszona, ruszyła do akcji.

Do kuchni było zaledwie kilka kroków, ale ledwie zdążyła tam przed Kerrem, ruszył na nią z tymi twardymi, morderczymi rękami. Walcząc z jego brutalnym uściskiem, krzyknęła, kiedy jej czaszka zderzyła się gwałtownie z ostrą krawędzią kuchenki. Machała rękami, młócąc powietrze szukała po omacku czegoś do obrony.

Walczyła z Kerrem, a po chwili również Packard ją zaatakował. Rzucił się do pomocy swojemu partnerowi z nieludzkim rykiem. - Zostaw ją mnie - warknął, jego kły ociekały śliną, a oczy wypełniała mu dzika, bursztynowa furia.

Danika szarpała się w ślepej panice sycząc, gdy jej palce natrafiły na rozgrzany miedziany czajnik. Stał na kuchence, ciężki od wypełniającej go wody, wciąż gorący ponieważ przed paroma minutami robiła sobie herbatę. Złapała za uchwyt i z każdą uncją siły jaką posiadała zamachnęła się nim na Packarda.

Zawył, gdy czajnik trafił go w bok głowy. Ukrop buchnął z dziobka i otwartego wieczka, oblewając mu twarz i szyję. Na jego skroni pojawiło się okropne, krwawiące rozcięcie. Przeciągnął po nim koniuszkami palców, po czym przyszpilił ją

morderczym spojrzeniem. - Zapłacisz mi za to suko, kawałkami własnego ciała.

Danika cofnęła się w kompletnym przerażeniu. Nie miała dokąd uciec, ani nic, czego jeszcze mogłaby użyć przeciwko nim. Żadnej nadziei na to, że ktoś usłyszy jej krzyki.

Packard krążył wokół niej, jak zwierzę gotujące się do ataku. Skoczył, a Danika zamknęła oczy. Czekala żeby poczuć, jak spada na nią jego olbrzymie ciało, ale w następnej sekundzie cały dom ogarnął chaos.

Mroźne powietrze wpadło z zewnątrz w lodowatym podmuchu. A razem z nim przyfrunął ponury kształt, poruszając się tak szybko, że prawie nie była w stanie zarejestrować jego ruchów.

To był Malcolm.

Danika patrzyła w oszołomieniu i z niedowierzaniem, jak skoczył na Packarda i rozciął gardło wampira ostrzem śmiertelnoścnoego sztyletu. Goryl zakończył życie brocząc krwią. Następnym, który poczuł furię Mala, był Kerr. Walka była szybka i brutalna, na pięści, noże i błyskające, śmiertelnoścne kły. Gdy się skończyła, spomiędzy warg Malcolma wydobywał się świszczący oddech. A kiedy wypuścił z rąk ogromne ciało Kerra i przeszedł nad nim jak nad kupą śmieci w jego oczach płonęły jasne iskry.

- Malcolm - szepnęła Danika i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z dreszczy przeszywających ją od czubka głowy do palców u stóp. W twardym, ciężkim milczeniu, które nastąpiło po tym wszystkim, zza zamkniętych drzwi sypialni wydobył się przytłumiony krzyk.

Uderzyło w nią wściekłe spojrzenie Mala - Masz tu niemowlę?

- To mój syn, Connor.

Z powodu tego, co mogło im się przydarzyć, miała wilgotne oczy i głos się jej łamał się ze strachu. A to zagrożenie jeszcze nie znikło, jeśli brać pod uwagę zjadliwe spojrzenie, którym przeszywał ją Malcolm, nic jeszcze nie było przesądzone.

Przeciagnał dłonią po przeciętym blizną policzku i zarośniętej szczęce, po czym ordynarnie zaklął. - Bierz dziecko, Dani. Teraz to nie jest bezpieczne miejsce dla żadnego z was.

* * *

Oba pachołki Reivera leżały bez ducha wewnątrz chaty w kałużach krwi. Owdowiała Dawczyni Życia z synkiem... rodzina jego nieżyjącego najlepszego przyjaciela, a ponadto byłego członka Zakonu, *niech to cholera...* czekała w samochodzie zabitych, zaparkowanym za jego plecami, przy końcu zaśnieżonego podjazdu. W dłoni dzierzył gotowy do strzału pistolet wycelowany w wychodzące na ulicę okno chatki, która znajdowała się teraz w odległości około stu metrów od niego. Komory pistoletu były gotowe, by wystrzelić grad kul i podpalić strumień gazu wyciekającego z odłączonej od kuchenki rurki.

Chyba szlag go trafi.

Zmarnował pół cholernego roku usługując przestępcy, którego nie cierpiał każdą uncją swojej istoty, ukrywając kim był, grzebiąc swoją przeszłość i pozwalając, by przyszłość wymykała mu się z rąk, wszystko dla jednego celu: żeby móc przygotować się na ten idealny moment, w którym mógłby za jednym zamachem załatwić Reivera i resztę jego nietykalnych kumpli.

Tylko po to, by właśnie tu i teraz ryzykować, że jego plan rozsypie się jak domek z

kart.

Malcolm MacBain wydyszał barwną litanie przekleństw w zardzewiałym gaelickim. Po czym nacisnął na spust, odwrócił się i skierował do samochodu pracującego na jałowym biegu.

Za jego plecami roztrzaskało się szkło. Odpowiedział mu świst lodowatego powietrza, a kiedy szedł ciągnął za sobą tuman płatków śniegu, które tańczyły na wietrze wiejącym od strony gór.

Świat nagle zamilkł, ale tylko na mgnienie oka.

Potem mały domek wyleciał w powietrze, a ziemia pod jego butami zadrżała od wybuchu. Malcolm poczuł ten wybuch w swoich kościach. Zobaczył, jak wszystko odbija się w przedniej szybie sedana, pochodzącego z garażu Reivera. Strzelające ku niebu jaskrawo-pomarańczowe płomienie, oświetlały przerażoną twarz siedzącej w samochodzie Daniki.

Bez słowa wśliznął się za kierownicę i ostro zakręcił nią na wstecznym biegu. Kiedy z rykiem silnika oddalił się od płonącego domu, poczuł na sobie oczy Daniki. Troskliwie przytulała dziecko do piersi, jedną ręką osłaniała jego głowę. - Malcolm, co ty zrobiłeś?

Jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji mogłem zrobić. Swoją uwagę skierował na rozciągającą się przed nimi ciemną drogę, wiedząc, że musi trafić tam, gdzie zmierzali zanim fajerwerki i chęć sprawdzenia, co się dzieje, skłonią cały klan Conlana do wyjścia na zewnątrz.

- Gdzie nas zabierasz? Dlaczego nie chcesz żeby rodzina Cona wiedziała, co się tu stało?

Poczuł, jak jej dar wwierca mu się w czaszkę. Rozdrażniony zaklął i rzucił jej ostre spojrzenie. - Dziewczyno trzymaj się z daleka od mojej głowy. Zostaw w spokoju moje cholerne myśli.

- Oni będą się o mnie martwić. Muszę dać im znać, że mnie i Conorowi nic się nie stało...

- Nie zrobisz tego - Ton, którym wypowiedział te słowa, był surowszy niż zamierzał. - To co przed chwilą zrobiłem, kupiło ci trochę czasu. Czasu, który musisz wykorzystać na to, żeby znaleźć się tak daleko od Szkocji, jak tylko zdołasz. To wszystko pójdzie na marne, jeśli ktokolwiek... nawet bliscy Conlana... dowiedzą się, że ty i dziecko żyjecie.

Danika wpatrywała się w niego, kręcąc głową. - Okrucieństwem byłoby kazać im myśleć inaczej.

- Wewnątrz tego pożaru płoną trupy dwóch najgorszych egzekutorów Reivera. Wysłał ich, by cię zabili, Dani. Nie łudź się nawet przez chwilę, że on nie weźmie odwetu na tobie, lub na reszcie MacConnów, jeśli będzie miał choć najmniejszy powód, by podejrzewać, że dzisiejszej nocy mogłaś nie zginąć.

Pozwolił, by jej milcząca odpowiedź wypełniła ciszą wewnątrz samochodu, podczas gdy on kierował go głębiej w noc, z dala od pofalowanych wzgórz i dzikich równin Szkockiego Pogórza, gdzie się urodził. - W tej chwili, nie żyjesz, Daniko. Musisz mi zaufać. To jedyny sposób.

- Więc dokąd mam się udać?

- Gdzieś, gdzie on nie pomyśli, by cię szukać.

Ponownie zamilkła, by po chwili zacząć szeptać łagodne słówka do dziecka, które w jej objęciach zaczęło się wiercić i obracać główką. Malcolm nie mógł się powstrzymać, by od czasu do czasu nie zerkać w jej kierunku, podczas gdy samochód pokonywał kolejne mile. Wciąż była śliczna, z tymi jasnymi blond włosami i gładką kremową cerą.

Czas sprawił, że zapomniał jak królewskie, a mimo to kobiece były jej nordyckie cechy, ale oglądanie jej teraz było jak spojrzenie przez okno, ponad tymi wszystkimi latami, które minęły, a faktycznie... całymi wiekami. Piękno Daniki MacConn nie zmalało nawet odrobinę, nawet pomimo lekkich cieni pod jej oczami, które wskazywały, że najwyraźniej już bardzo długo obywatela się bez próbowania ożywczego smaku krwi Rasy.

Było mu przykro z powodu jej poczucia straty i cierpienia, spowodowanych śmiercią Conlana. Utrata związanego krwią partnera była najgorszym rodzajem katuszy. Con był szczęściarzem, wolnym od wszelkich zmartwień. Danika musiała je dźwigać, również swoje radości przeżywała już bez niego.

Przyglądanie się pełnej delikatności więzi, jaką dzieliła z malutkim synkiem, wywoływało w Malcolmie głęboki ból... ból spowodowany własną stratą. To był ból, który wtedy niemal go zabił, ale teraz dawał mu powód, by oddychać.

By mieć cierpliwość. Żeby się zemścić.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął była opieka nad delikatną kobietą i jej dzieckiem. Wszystko jeszcze pogarszał fakt, że to musiała być akurat ta kobieta, w tym momencie... i w tym miejscu.

Przygotowując się na konsekwencje czynów popełnionych tej nocy, Malcolm

skręcił sedanem w boczną ścieżkę, która nie była godna, by nazwać ją drogą.

Podskakiwali i przedzierali się przez gęste wrzosowisko, jadąc wzdłuż starego, walącego się ogrodzenia z polnych kamieni. Nagle twierdza zasłoniła im widok, wznosiła się ciemna jak asfalt, na tle zimowego, nocnego nieba. Spoglądając na zewnątrz przez przednią szybę, Danika wychyliła się do przodu na swoim siedzeniu.
- Pamiętam to miejsce - wyszeptała cicho.

- Aye - zgodził się. - Myślę, że powinnaś dobrze je znać.

Była zupełnie cicho, patrzyła prosto przed siebie, aż do chwili, gdy zatrzymał się przed warownią. - To jest zamek, w którym Conlan jako pierwszy zapytał mnie, czy zostanę jego żoną. - Twarz Daniki płonęła perłowym blaskiem w światełkach deski rozdzielczej, gdy odwróciła się by na niego spojrzeć. - Malcolm ... to jest twój zamek.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA *xeo222*

Nie mogłam się powstrzymać :)



ROZDZIAŁ 5

Wnętrze kamiennego piętnastowiecznego zamku było w znacznym stopniu

zmodernizowane. Szare i zimne kamienne ściany zostały pokryte białym tynkiem i przyozdobione współczesnymi obrazami i czarno-białymi fotogramami okolicznych gór i Wyżyny Szkockiej. Szorstkie deski podłogowe, były teraz lśniące i ocieplone grubymi wełnianymi dywanami. W miejsce łożówek oraz ściennych zniczy, płonących żywym ogniem i wypluwających sadzę i dym, Mal zamontował piękne lampy, by przepędzały cienie.

Ale pokój, do którego zabrał Danikę i Connora był na drugi piętrze, a tam czekała ją nagła, szokująca niespodzianka. Pokój dziecienny.

Niedokończony, sądząc po wyglądzie. Drewniane dzieciinne łóżeczko stało puste na środku przytulnej komnaty. Wysoka komoda z szufladami stała przy ścianie po jego lewej stronie, obok kosza wypełnionego menażerią pluszaków i maleńkich zabawek, które wyglądały na nigdy nieużywane. Na najdalszej ścianie, ktoś zaczął malować zabawny fresk... uśmiechające się lwy i małpy, słonie z wybałuszonymi oczami i żyrafy, figlujące razem w kolorowej, na wpół ukończonej zadrzewionej dżungli i wysokich zielonych traw.

A wyglądający w mroku jak widmo, przykryty jasnym nakryciem, stał w zapomnianym kącie czarującej małej komnaty, samotny bujany fotel.

- W skrzyni są koce i poduszki, powiedział stojący za jej plecami Mal. - Weź, co ci będzie potrzebne.

Gdy odwróciła się, żeby mu podziękować mu, już go nie było.

Kilka minut później, po uśpieniu Connora, Danika poszła z powrotem krętymi schodami przechodzącymi przez serce zamku. Usłyszała dobiegające z kuchni na parterze, szuranie butów po łupkowej podłodze i dźwięk stukania drzwiczek w szafkach, gdy Malcolm otwierał je i zamykał. Ciepłe żółte światło przesączało się od strony otwartych drzwi. Danika podeszła do nich.

Mal był odwrócony do niej plecami, ponieważ przekładał coś z miski na blacie do plastikowego, strunowego woreczka. Jego ciemny płaszcz i skórzane kabury z bronią zostały udrapowane na jednym z czterech krzeseł przy stole pośrodku kuchni. Bez spojrzenia na nią, zapytał. - Czy tam na górze znalazłaś wszystko czego potrzebujesz?

- Tak, dziękuję. - Weszła do wnętrza prostokątnej kuchni. Przyglądała się białym, łukowatym ścianom, szafkom z granitowymi blatami i lśniącej kuchence z nierdzewnej stali, w którą wyposażone było to miejsce. - Pamiętam czasy, kiedy było tu tylko klepisko i otwarty kamienny kominek. Ty i Con siedzieliście tu na dole całymi godzinami, dyskutując o filozofii i chełpiąc się twoimi różnorodnymi podbojami. Ponieważ o ile sobie przypominam, bardzo często wikłałeś się w przelotne związki z kobietami.

- To były dawne czasy - burknął.

- Teraz, kiedy znowu tu jestem, to wcale nie wydaje się takie odległe - powiedziała, dziwiąc się jak wydało się to jej prawdziwe. Cały ten czas wyparował.

Kiedy odwrócił się do niej przodem, jego granitowo-szare oczy patrzyły trzeźwo i z niepokojem. Jego widok tu, w tym miejscu, po niebezpieczeństwie, któremu tak niedawno razem stawili czoła, sprawił, że ścisnęło się jej serce. Podszedł do niej, trzymając w ręku plastikowy woreczek, z którego jednego rogu kapąła woda. Śnieg wewnątrz już zaczynał się roztopiać. - Nie mam w domu lodu, więc kiedy byłaś na górze zebrałem trochę śniegu. - Skinął dłonią w kierunku stołu i krzeseł. - Usiądź Dani. Pozwól, że przyjrzę się temu guzowi na twojej głowie.

Zrobiła, o co ją prosił. Podszedł razem z nią i ukucnął, kiedy usiadła naprzeciw niego. Nie zdawała sobie sprawy, że została ranna, aż poczuła dotknięcie domowej roboty kompresu na swoim czole. Skrzywiła się i gwałtownie wessała powietrze. Jej

ręka odruchowo powędrowała w górę do miejsca, w którym Mal wciąż trzymał worek z lodem. Pod opuszkami jej palców jego skóra była ciepła, dotyk silnej dłoni zbudowanej z silnych kości i ścięgien natychmiast rozpałił jej wyobraźnię.

Ten dotyk trwał zbyt długo.

Był zbyt ciężki od niewypowiedzianych, nieproszonych, pragnień.

Byli też zbyt blisko siebie, jakże blisko. On przykucnięty przed nią. Ona z nogami wyciągniętymi po obu stronach jego potężnego ciała, podczas gdy Mal zajmując się jej czołem mocno się o nią opierał. Jego i jej twarz były na tym samym poziomie, tak blisko, że mogła dostrzec w jego chłodnych szarych tęczęwkach pierwsze iskry bursztynu. Tak blisko, że mogła poczuć, jak iskrzy powietrze w tych kilku centymetrach odległości, która dzieliła ich tułowia, naelektryzowane wyraźnym napięciem, którego żadne z nich zdawało się nie spodziewać.

Z dziwnym wyrazem twarzy, Malcolm zabrał dłoń z jej czoła i odłożył kompres z topniejącego śniegu na stół za jej plecami. - To nie był dobry pomysł.

Danika przełknęła, jej gardło nagle stało się suche. - Masz na myśli to, że pomogłeś mi dziś wieczorem, a może...

- Całokształt - odpowiedział zwięźle, z niskim pomrukiem, który przedarł się przez jego zęby i wydłużające się końcówki kłów.

Ale nie cofnął się, tylko mocniej pochylił się ku niej, a jego oczy wciąż były wpatrzone w jej twarz, udręczone i wzburzone. Z taką samą mroczną tęsknotą, jaka zaczęła zaczęła narastać również w jej wnętrzu. Westchnął i warknął przekleństwo. - Muszę już jechać. Powinienem wrócić do klubu zanim Reiver zauważy, że wyszedłem.

- Nie rób tego - wyrzuciła z siebie, potrząsając głową, kiedy zaczął się podnosić, żeby odsunąć się od niej. Myśl o pozostaniu samej tej nocy tylko z maleńkim Connorem, spowodowała, że poczuła chłód w żyłach. I nie mogła powstrzymać się od myśli, że Reiver mógł dowiedzieć się, co Malcolm dla niej zrobił i gdy tam wróci spotka go za to kara. - Nie jedź tam. Jak w takim momencie możesz nawet myśleć o powrocie do tego kryminalisty?

- Po prostu mam tam coś do zrobienia, Dani.

- Reiver jest zwierzęciem - przypomniła mu. - To bestia, która szafuje ludzkim życiem. Sam mówiłeś, że chciał z zimną krwią zamordować mnie i moje dziecko.

- Owszem - zgodził się Malcolm - Reiver jest tym wszystkim, a w rzeczywistości jest jeszcze gorszy. Szkoda, że wcześniej nie zdałaś sobie z tego sprawy, zanim dziś wieczorem wszystko szlag trafił.

W tym zarzucie nie było zbyt wielkiego oskarżenia. Raczej, nagi strach. Ten strach był także w jego oczach i gniew nie był w stanie całkowicie go zamaskować. Analizowała to nawiedzone spojrzenie, bolejąc nad nim, pragnąc zrozumieć kim się stał. - Co się z tobą stało, Malcolmie? Co się stało z twoją twarzą, z twoim imieniem... z człowiekiem, którym kiedyś byłeś?

- On odszedł, jest martwy, tak samo jak i ty teraz. - Jego usta były ponurą linią, mięsień zadrgał na jego zarośniętej szczęce, po stronie zeszpeconej blizną.

- Cholernie dużo może się zdarzyć przez kilka stuleci, dziewczyno.

- Taaa - powiedziała. - Przypuszczam, że może. Nigdy nie pomyślałabym, że dożyję dnia, w którym Malcolm MacBain odrzuci swój honor i dobre imię, żeby zostać pacholkiem kogoś takiego jak Reiver.

- Wszyscy dokonujemy wyborów. Mam swoje powody - warknął i rzucając tą szorstką odpowiedź w końcu odsunął się od niej. Posłał jej spojrzenie spod ciemnych rzęs i wstał.

Stanęła z nim nos w nos, nie pozwalając mu odciąć się od siebie. - Opowiedz mi o nich.

- Daj spokój, Daniko. - Te słowa były głuchym dudnieniem, pochodzącym z głębi jego klatki piersiowej.

Ale nie mogła pozwolić mu odejść. Wpatrywała się w niego intensywniej, popychając w jego kierunku swój nieposkromiony dar. - Ty go nienawidzisz.

Nie odpowiedział; ale przecież, nie było takiej potrzeby. Jego ogromne ciało emanowało odrazą. To nie lojalność sprawia, że służysz Reiverowi - stwierdziła. To wściekłość. Nieprawdaż?

Odruchowo odpowiedział jej w myślach: Odebrał mi coś cennego. Zabrał wszystko, co miałem. Nie cofnę się przed niczym, by sprawić, żeby za to zapłacił. Danika zamknęła oczy, ponieważ smutek tej obietnicy, głęboko zapadł w jej świadomość. - Mal, tak mi przykro.

Wykrzyczał gniewne przekleństwo, a następnie jego ręce, ręce Mala znalazły się na jej ramionach, chwytając ją mocno i wciągając w cień swojego potężnego ciała. W jego twarzy kipiała furia. - Niech cię cholera, kobieto! Trzymaj się z daleka od moich myśli.

Zacieśnił swój uścisk, jego oczy były teraz błyszczące i dzikie, wargi odsłoniły ogromne kły. - Dlaczego do kurwy nędzy musiałaś znowu pojawić się w moim życiu?

Danika nigdy nie kulila się przed mężczyznami, ani przed Conlanem, ani jakimkolwiek innym mężczyzną Rasy. Nawet przed Reiverem i jego brutalnymi wysłannikami, którzy wcześniej tej nocy odwiedzili jej domek. Ale furia Malcolma była burzą, która nią wstrząsnęła i pozbawiła odwagi. Uderzyła w nią z mocą, która pozostawiła ją drżącą i bez tchu.

Był niebezpiecznym człowiekiem. Tym bardziej, iż został zraniony do głębi. A ta rana zaogniła się od nienawiści, która żywcem go pożerała. Teraz to dostrzegła. I było coś jeszcze w rozpalonym, bursztynowym ogniu jego oczu.

Pożądanie.

Zainteresowanie, które wcześniej zaiskrzyło pomiędzy nimi, teraz już się wypaliło i zamieniło w coś bardziej pochłaniającego, gdy gorące spojrzenie Malcolma przylgnęło do niej, po czym powoli skupiło się na jej rozchylonych ustach. Inna myśl wystrzeliła z jego głowy i uderzyła w jej umysł, tym razem bez jej udziału, mroczna i zaskakująca w swojej zmysłowości.

Mogła mu kazać, by ją uwolnił. Mimo, iż był taki potężny, silny i nieprzewidywalny, co zdążyła już zauważyć, gdyby tylko tego zażądała, w jednej chwili zabrałby swoje ręce.

Ale to nie było to, czego pragnęła.

A on wiedział o tym równie dobrze jak ona. - Danika - Wychrypiał, jego oczy ogarnął ogień. I wtedy jego usta przywarły do jej warg.

Ten kontakt był gwałtowny, oszalamiający. Tak dużo czasu upłynęło odkąd doświadczyła męskiego dotyku, pocałunku, pożądania. Wargi Malcolma uwodziły, żądały, domagały się jej z namiętnością, która skradła jej cały oddech z płuc. Nie

zdawała sobie sprawy, jak bardzo tęskniła za tym uczuciem i chociaż jakaś jej część nie chciała pozwolić odejść Conlanowi... i może nigdy całkowicie się z nim nie pożegna... inna jej część, która wciąż pozostawała witalna, wciąż żywa, ciepła i kobieca, nie mogła zaprzeczyć temu pragnieniu. Fizycznego, intymnego kontaktu.

Fakt, że to Malcolm całował ją teraz, że to jego ręce głaskały jej ramiona i gardło, a silne palce wsunęły się w delikatne włosy na karku, by mocniej przyciągnąć ją w swoje objęcia, pogłębić oszałamiający pocałunek, sprawił tylko, że ogarnęło ją jeszcze gwałtowniejsze pragnienie.

Powędrował swoimi ustami do wrażliwej skóry pod jej uchem, przepalając ją oddechem, jego głos był ochrypliwy i mroczny. - Chryste, dziewczyno. Nie powinnaś czuć się tak dobrze w moich ramionach. A ja nie powinienem pragnąć cię w ten sposób...

Jęknęła w odpowiedzi, zatracając się w tym samym dojmującym pragnieniu. Pożądała Malcolma, chciała poczuć na sobie dotyk jego dłoni, znajomy, a jednak tak bardzo nowy.

Żaden nieznajomy nie mógłby poruszyć jej w ten sposób, w jaki on to teraz robił, a ona pozwoliła mu wciągnąć się w wir jego namiętności.

Kant stołu werznął się w jej pupę; twarde, muskularne ciało Malcolma napierało na nią z przodu. Nawet przez ubrania czuli niezaprzeczalny żar swoich ciał. Gruba wypukłość jego pobudzenia była wyraźnym żądaniem napierającym na jej biodro, ocierała się o nie w cudownym, pierwotnym rytmie. Jego dłonie głaskały jej piersi ponad miękkim trykotem swetra.

Jej ręce również miały ochotę poznawać jego ciało. Przesunęła nimi po szerokiej piersi, po napiętych płaszczyznach mięśni ukrytych pod ciemnym podkoszulkiem, które w dotyku przypominały stal.

Dermaglify na obnażonym bicepsie wezbrały kolorami pożądania. Ciemne wino, lśniące złoto i najgłębsze indygo, pulsowały jak żywe tatuaże, nabierając intensywniejszej barwy z każdym gorączkowym uderzeniem jego serca. Gdy uniosła wzrok, by z powrotem spojrzeć na Malcolma, jego rysy były wyostrome, kły wysunięte na pełną długość, a źrenice zamienione w wąskie kocie szpary, prawie zatopione w powodzi bursztynu. Ten blask zapłonął goręcej, gdy sięgnął między jej uda i potarł obolałe z pożądania jądro kobiecości. Pod wpływem tego dotyku Danika wygięła się w łuk, dysząc od tej pieszczoty, wszystkie zakończenia nerwowe eksplodowały falą gorącego pragnienia.

- Powiedz mi, żebym przestał - szepnął niskim głosem przy jej ustach, ostre końcówki jego kłów drasnęły jej wargi. - Powiedz mi, że tego nie chcesz.

Ale jak mogłaby powiedzieć coś takiego? Krzyk jej spełnienia był wszystkim, co zdołała z siebie wydobyć, gdy tama wewnątrz niej rozpadła się w gruzy, pod wpływem jego niewiarygodnego dotyku. Rozsypała się na drobne kawałeczki, sapiąc jego imię i czepiając się jego muskularnych ramion, podczas gdy on popchnął jej plecy w dół, na stół i nakrył ją swoim ciałem.

Ubrania odpadły w pośpiechu, w ciągu jednej chwili odrzucone na bok, a w kolejnej minucie oboje byli nadzy.

Skóra do skóry, dłonie przesuujące się po nagich ciałach.

Usta przekomarzały się, badały, brały.

Gruby penis Malcolma naparł na wilgotne płatki jej ciała, wysyłając twarde żądanie, które kazało jej udom bardziej się rozchylić, by zrobić dla niego miejsce. Posiadł ją z ordynarnym przekleństwem wydyszczanym z pomiędzy warg. Jego

głębokie pchnięcie wypełniło ją całkowicie, sprawiło że wygięła się w łuk pod wpływem przenikającej ją rozkoszy. Jego penis atakował i uwodził, agresywny ale delikatny, jak stał powleczona najdelikatniejszym aksamitem. W tym gorączkowym momencie wciąż nie mogła się nim nasycić.

Pomimo, że nigdy wcześniej się nie całowali, nigdy nie dotykali... nigdy przed tą nocą... dokładnie wiedział, jak się w niej poruszać, kiedy popchnąć ku krawędzi, a kiedy pozwolić jej przejąć kontrolę nad ich tempem.

Otworzyła oczy i ujrzała mężczyznę, którego знаła, mężczyznę któremu zaufała w tej delikatnej kwestii, ponownego rozbudzenia swojego ciała. - Malcolm - wydyszała, wyciągnęła rękę, by pogłaskać jego szorstką szczękę i oszpecony blizną policzek, podczas gdy on falował na niej nieprzerwanym rytmem. - O mój Boże Mal... Nie wiedziała, co chciałaby mu powiedzieć. Nie wiedziała, jakie to miały być słowa. Ale wtedy ją pocałował ją i minęła jej ochota na mówienie czegokolwiek. Wbijał się w nią mocniej, głębiej do czasu, gdy przetoczył się nad nią kolejny orgazm i zmiotł ją poza stromą krawędź. Doszedł razem z nią. Jego okrzyk spełnienia był surowy i zaborczy i zabrał ze sobą jej potrzebę zastanowienia się, albo zadania sobie pytania... jak mogli skończyć w ten sposób, razem po wiekach osobnego życia.

Nadzy i rozpaleni, wtuleni w swoje ramiona.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA *xeo222*



ROZDZIAŁ 6

Dopiero, gdy ustąpiło oszołomienie orgazmem, Malcolm w pełni pojął wagę tego, co zrobił.

Uprawiał seks, z Daniką.

Wdową po mężczyźnie, który w minionych wiekach był dla niego jak brat. Kobieta, którą Reiver wziął na cel i która mogła zniweczyć to, co było dla Malcolma celem życia. Kobieta, której nie miał prawa pragnąć, nie wspominając już o uwiedzeniu w momencie, w którym żadne z nich nie mogło pozwolić sobie na szaleństwo.

Nie planował, że dzisiejszej nocy będzie miał pod sobą... nagą Danikę. Tak naprawdę, to był od tego jak najdalszy. Mimo to nie mógł zdobyć się na zdrowy rozsądek, by żałować tego, co się wydarzyło.

Nagi, gorączkowy, niewiarygodny seks.

A jego zachłanne ciało pragnęło jeszcze więcej.

Spojrzał w dół na nią, rozłożoną przed nim na kuchennym stole, jak ofiarna dziewczyna.

Chryste, była piękna. Mleczna skóra i długie, szczupłe kończyny. Miękkie

zaokrąglenia we wszystkich właściwych miejscach. Pogładził dłońmi jej doskonałość. Przebiegł palcami przez jej piersi i w dół do jej brzucha, gdzie niewielkie czerwone znamię w formie łyzy i półksiężyca naznaczało ją jako Dawczynię Życia... kobietę czczoną przez jego rodzaj, zdolną spłodzić potomstwo z mężczyzną Rasy i stworzyć z nim, przez krew wieczną więź. Tylko śmierć mogła ją przeciąć.

Widok tego malutkiego znamienia na ciele Daniki MacConn wywołał w nim zaborczość... nieproszoną, a jednak trudną do zignorowania. Z powodu dzielonej z nią namiętności kły wciąż wypełniały mu usta. Ale teraz mroczniejsze pragnienie drażniło jego dziąsła i powodowało, że jego oczy płonęły złocisto-bursztynowym blaskiem... sprawiało, że jego tętno przyśpieszyło z powodu potrzeby, żeby się z niej pożywić. Przycisnął usta do delikatnego gardła i wkluć się, w widoczną tam słodką żyłę.

Pić z niej i na resztę życia przywiązać do siebie tą kobietę. To pragnienie eksplodowało spomiędzy jego warg stłumionym pomrukiem.

Zamglone spojrzenie błękitnych oczu Daniki uniosło się ku jego twarzy i mógł mieć tylko nadzieję, że jej dar nie zdradził przed nią jego myśli. - Chodź dziewczyno - wychrypiał, uwalniając się od jej żaru, by wziąć ją w ramiona.

Podniósł ją i zdjął ze stołu, niosąc ją nagi, przez kuchnię i po schodach do głównej sypialni na drugim piętrze. Jego sypialni. Tej, w której od miesięcy nie postawił stopy.

Nie był tu od momentu, w którym pogrzebał zniszczone skrawki minionego życia i rozpoczął dążenie do unicestwienia Reivera. *(musiało się tu nazbierać trochę kurzu;)*

Wniósł Danikę do środka i ułożył na królewskich rozmiarów łożu z czterema

kolumnami podtrzymującymi staroświecki baldachim. Ten zabytek był tylko kilka stuleci młodszy od niego. Jego wezgłowie i rzeźbione wsporniki były zrobione z rzeźbionego czarnego orzecha, a gruby materac pokrywały kremowe owcze skóry i wełniany pled w czerwono czarnych barwach MacBainów. Danika na środku jego łóżka wyglądała diabelnie ponętnie, podparta na łokciach, z jedną smukłą nogą ugiętą w kolanie.

Malcolm znowu chciał się z nią kochać. Wciąż jej pragnął

Jej spojrzenie spod ciężkich powiek pieściło jego nagie ciało. Uśmiechała się znacząco, cała była zaproszeniem.

Wsunął się na łóżko i nakrył ją swoim ciałem, zanurzył się z powrotem w jej gościnnym cieple. Tym razem kochał się z nią powoli, w sposób, w jaki kobieta taka jak ona powinna być zaspokajana. Gdy oboje byli śliscy od potu i ponownie nasyчени, wyciągnął się obok niej i przytulił ją do siebie. Głaskał jej cudowne piersi, pieścił delikatne gardło i linię szczęki, próbując zapanować nad swoim entuzjazmem i aż nazbyt oczywistą erekcją. Próba ta okazała się bezcelowa, gdy Danika wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, owijając palce około jego wzwodu i czule pieszcząc jego długość.

Jęknął, delektując się dotykiem jej dłoni. Przekleństwo, które wydarło się z głębi jego gardła, było tak mroczne jak poczucie winy, które nagle na niego spłynęło. Mógł odpychać je od siebie tak długo, jak długo jego zmysły pochłaniało pożądanie, ale teraz znowu zaczęło go dręczyć.

Danika, która wciąż go pieściła, spojrzała na niego z niepokojem, zmarszczyła czoło. - Co się dzieje, Mal? Czy robię coś nie tak?

- Nie- przeklął jeszcze raz i uniósł jej rękę do ust, by złożyć pocałunek we wnętrzu

dłoni. - Nic, co zrobiłaś nie było złe. Tu chodzi o mnie... Chryste. - Napotkał jej badawcze spojrzenie, nienawidził tego, że sprawiał iż mogła pomyśleć, że jest czemukolwiek winna. Nie mógł powstrzymać swoich rąk przed dotykaniem jej ciała. Jego palce pragnęły poczuć ciepło jej skóry, tak samo jak jego penis łaknął powrotu do jej wnętrza.

- Kiedy cię dotykam czuję jakbym zradzał Conlana. Zdradzam go przez to, że pragnę cię teraz... tak samo jak wtedy.

Wpatrywała się w niego przez chwilę w milczeniu, z lekkim zdziwieniem w oczach. - Ty mnie pragnąłeś? - Potrząsnęła głową, odrzucając ten pomysł z cichym śmiechem. Jeśli dobrze sobie to przypominam te wszystkie twoje wojaże i wyczyny, z tamtych czasów, to nie wiem, czy znalazłaby się choćby jedna kobieta, której swoim czarem nie pozbawiłeś cnoty.

- Ale nie ciebie. A to ty byłaś jedyną, którą kochałem - wyrzucił z siebie, zbyt późno próbując się od tego powstrzymać.

On i Conlan przyjaźnili się przez wiele lat, a jeszcze dłużej byli sąsiadami. Wspólnie bronili swoich ziem, ramię w ramię, jak bracia. Ale podczas, gdy w polu i pełniąc swoje obowiązki byli jak jedna osoba, tak w prywatnym życiu ci dwaj mężczyźni Rasy nie mogliby się bardziej od siebie różnić. Malcolm łaknął przygody i zawsze był gotów, by za nią gonić. Conlan był stateczny, niezawodny. Był mężczyzną, który bardziej zasługiwał na tak wyjątkową kobietę... jaką była Danika. Mal nadal miał przed oczami tę noc, kiedy razem z Conem po raz pierwszy ją ujrzeli... złotowłosą, nordycką piękność, adoptowaną córkę potężnego przywódcy mrocznej Przystani z Kopenhagi. Była w Szkocji dla przyjemności i zabawy, niezależna nawet w tamtych czasach. Samotna osiemnastolatka, rezydowała w Edynburgu u pochodzących z Rasy krewnych. Mal nie marnował czasu na długie podchody, starając się zrobić na niej wrażenie opowieściami o swoich podróżach po całym świecie i niebezpiecznych wyczynach.

Ale to Conlan był tym, który ostatecznie ją zdobył. Spokojny i taktowny, opanowany Con.

- Byłeś taki zmienny, nieprzewidywalny - zauważyła. - Złamałbyś mi serce.
- Prawdopodobnie - przyznał. - Ale wtedy byłem idiotą. Nie zdawałem sobie sprawy, ile dla mnie znaczyłaś, dopóki Con mi nie oznajmił, że macie się związać. Przełknęła ślinę, ledwo mogła oddychać - Nigdy się nie domyślałam.

- A gdybyś wiedziała, czy to by coś zmieniło?

- Przez chwilę błędziła oczyma z dala od niego. - Nie, nie miałyby znaczenia. Conlan był dobrym człowiekiem i dobrym partnerem. Przez cały ten czas, który przeżyliśmy razem, kochałam go bez pamięci. Zawsze będę go kochała.

Mal kiwnął głową chociaż te słowa gorzko smakowały. - Traktował cię z honorem. Wiedziałem, że będzie właśnie taki.

W tym momencie Danika sięgnęła ku niemu, koniuszki jej palców lekko pogładziły jego zaciśniętą szczękę. - Con odszedł, a ja ciągle żyję. Wciąż go oplakuję, ale nie mogę ci powiedzieć, Malcolmie, że moje serce nie raduje się, gdy teraz na ciebie patrzę. Nie zaprzeczę, że dobrze jest cię dotykać, leżeć tu z tobą. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo czułam się samotna przez cały ubiegły rok, dopóki nie objęły mnie twoje ramiona. - Pogłaskała jego okaleczony policzek, opuszką kciuka, przeciągając ją delikatnie po brzydko zagojonej ranie od noża. - Conlan nie jest jedyną osobą, którą czujesz, że zdradziłeś dzisiejszej nocy, nieprawdaż?

Odwrócił głowę, próbując uniknąć jej dotyku, pragnąc również móc uniknąć ponownego przeżywania życiowej klęski, której następstwem była ta blizna. Zanim Danika miała szansę spenetrować jego umysł w celu uzyskania odpowiedzi,

gwałtownie zatrzęsł mentalne bramy prowadzące do jego przeszłości. Zamknął je za ścianą chłodnej furii. - Nie chcę o tym rozmawiać, Dani.

- Masz na górze niewykończony pokój dziecinny - wyszeptała, siadając razem z nim, kiedy poruszył się, by uciec od niej i z łóżka. - To oczywiste, że już tu nie mieszkasz, że nie przyjeżdżasz w to miejsce nawet od czasu, do czasu. I chociaż teraz mnie blokujesz, to mogę ci powiedzieć, że wtedy tam na dole, w kuchni, twoje myśli zdradziły mi, że straciłeś kogoś, kogo kochałeś. Wiem, że jesteś pogrążony w rozpacz i gniewie...

- Już ci powiedziałem, że nie chcę o tym mówić - warknął. - To jest dla mnie zbyt osobiste.

- Chyba nie ma nic bardziej intymnego niż to, co dzieliliśmy dzisiejszej nocy - powiedziała z lekką kpina w głosie. - W jaki sposób rozmowa o twojej przeszłości... o kobiecie, którą kochałeś i straciłeś... może być bardziej osobista niż to?

- Ponieważ im mniej wiesz, tym to dla ciebie bezpieczniejsze. Opuścił stopy na podłogę. - Muszę cię teraz zostawić. Już za długo byłem z dala od klubu.

Zanim zdążył wstać Danika wyskoczyła z łóżka i stanęła przed nim. Oparła dłonie na jego ramionach i spojrzała mu głęboko w oczy. - Jak długo knułeś intrygę w celu zgładzenia Reivera?

Mał wysyczał przekleństwo. - Daj mi spokój, Dani. - Poczul, jak mocniej napiera na jego umysł. Zdecydowane pchnięcie i już była wewnątrz jego myśli, wbrew jego woli wywlekając z niego prawdę - Siedem miesięcy - szepnęła, cofając się o krok. - Musiałeś patrzeć na niego, pracować dla niego... przez cały ten czas. Dlaczego?

- Ponieważ musiałem dotrzeć jak najbliżej niego - wyrzucił z siebie.

- Mal, co się przydarzyło twojej Dawczyni Życia? - Danika nalegała na odpowiedź, gładząc swoimi dłońmi jego biedną, okaleczoną twarz. - Czy komuś mówiłeś o tym wszystkim?

Potrząsnął głową, tłumione przez tak długi czas wspomnienia wezbrały, żrące jak kwas. - Nie planowałem się z nikim wiązać. Tak długo byłem sam, że przyzwyczałem się do swojej wolności. Pożywiając się na ludzkich kobietach, z więcej niż kilkoma z nich znalazłem przyjemność. Moim zwyczajem stało się omijanie tych z tym cholernym znakiem - powiedział, obwodząc palcem kontury znamienia Dawczyni Życia na szczupłym brzuchu Daniki. - Ale wtedy spotkałem Fionę. Była słodkim, łagodnym i niewinnym... zaledwie dwudziestodwuletnim dziewczęciem. Wszystko było dla niej świeże, pełne przygód, magiczne. Patrzyła na mnie, jak na jakiegoś cholernego księcia z bajki. Miałem za sobą wieki życia, wygrane i przegrane bitwy. Patrząc na Fionę, zdałem sobie sprawę, że zapomniałem, jak to było być takim beztroskim i przekonanym, że ma się świat u stóp.

Danika posłała mu delikatny, trochę kpiący uśmieszek. - Ty też kiedyś nie byłeś inny, Mal. Złowieszczy i tajemniczy, tak. I porażająco uroczy, na swój mroczny sposób.

Pokiwał głową, niepewny dlaczego nie powinno być dla niego niespodzianką, to że Dani tak dobrze go znała, nawet po tak długim czasie. Jego usta wygięły się w delikatnym uśmiechu, pomimo ciężaru wspomnień. Próbowiałem trzymać z dala od Fiony tą cyniczną i zmęczoną życiem część mojej osobowości. Pomyślałem, że aby jej nie spłoszyć, będę odkrywał ją przed nią powoli i po trosze.

- Ale ona nie była płochliwa - powiedziała Danika, wiążąc go czułym spojrzeniem.

Mal potrząsnął głową. - Nie, nie była. Byliśmy razem niecały rok, gdy zdałem

sobie sprawę z tego, że jestem w niej zakochany. Zwiąaliśmy się krwią, czyniąc ten zamek naszym domem. Nie upłynęło zbyt wiele czasu, gdy poprosiła mnie żebym dał jej dziecko. Była zaledwie kilka miesięcy w ciąży, kiedy...

Oddech uwiązał Danice w gardle. - Czy straciłeś ich oboje w tej samej chwili? Och, Mal.

- Pojechała do Edynburga, żeby odebrać jakąś szytą na zamówienie pościel do dziecinnego łóżeczka, taką pasującą do ściennego malowidła, którym ozdabiała ściany pokoju dziecinnego - wychrypiał, jego gardło wciąż ścisnęło się z żalu. - To był ranek, więc zostałem w domu. I zajmowałem się niespodzianką dla niej, którą miałem nadzieję skończyć pod jej nieobecność. Bujany fotel był prawie gotowy, gdy poczułem szarpnięcie przerażenia przez naszą więź krwi. Fiona była w niebezpieczeństwie, cierpiała. A ja byłem uwięziony w tej pułapce cierpienia, przez świecące za murami słońce.

Danika cicho zaklęła i przyciągnęła jego głowę do swojej piersi. - Tak mi przykro, Malcolmie.

- Próbowałem dodzwonić się do niej przez komórkę - wyszeptał, pamiętając aż nazbyt dokładnie strach, który nim owładnął w tych pierwszych szaleńczych chwilach. Dzwoniłem sześć razy, tuzin... nie odbierała. Nie miałem innego wyboru, jak tylko wyjść i zacząć jej szukać.

Serce Daniki pod jego uchem zabiło gwałtownie. - W biały dzień... wiedząc, że to może cię zabić?

- Nie dbałem o to. Do miasta pobiegłem pieszo, to był najszybszy sposób, by do niej dotrzeć. Prowadzony przez naszą więź, dotarłem do najbardziej nędznych dzielnic Edynburga. Było koło południa, a moja skóra zmieniała się w popiół. Ale

ona żyła i wciąż miałem szansę, by ją uratować - potrząsnął głową. - Byłem w mieście nie dłużej niż kilka minut i wciąż czułem naszą więź. A potem to się urwało i wiedziałem, że nie żyje. Zawiodłem ją.

Usiadła obok niego na brzegu łóżka. - Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, Malcolmie. Więcej, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać.

- Nie - powiedział. - Jeszcze nie. Lecz zrobię to dla niej. Nie mam pewności, jak długo stałem tam, na ulicy po tym jak odeszła, moje ciało płonęło, ale ja czułem tylko pustkę po jej stracie. Wtedy wiatr przywiał ciemne chmury i lunął deszcz. To dało mi czas, którego użyłem, by przeszukać miasto. Szukałem jej do chwili, aż znalazłem handlarza narkotyków, który słyszał o alfonsie płacącym dobrą kasę za ładne, młode kobiety... a nawet za mężczyzn i dzieci... cieszące się popytem wśród klientów o szczególnym smaku.

- Żywi ludzie dla chorych gier - sapnęła Dani. - Dla Reivera i jego klubów krwi.

Mal kiwnął głową. - Nigdy nie czułem takiej wściekłości, jak w tym momencie, gdy sutener, który porwał Fionę, wydusił z siebie nazwisko Reivera. To była ostatnia rzecz, jaką zrobił. Przyznał się, że zaatakował ją tego dnia. Schwycił Fionę kilka przecznic od sklepu, który odwiedziła i zaciągnął do swojego zasyfionego mieszkania, gdzie chciał zaaranżować jej sprzedaż. Ale walczyła z nim. Walczyła o siebie i o nasze dziecko. Sutener miał nóż. Próbowwała uciec, więc pchnął ją tym nożem w serce.

- O, mój Boże. - Łza spłynęła w dół po policzku Daniki.

- Łajdak użył tego samego noża na mojej twarzy, sekundę przed tym, gdy gołymi rękami zmiażdżyłem mu czaszkę - powiedział Malcolm, nawet we własnych uszach jego głos brzmiał martwo. Jakaś część mnie chciała natychmiast ścigać Reivera.

Pragnąłem szybkiej, brutalnej sprawiedliwości. Ale Fiona była ważniejsza. Nie mogłem zostawić jej w tym miejscu, z tymi ludzkimi śmieciami. Więc odwiozłem ją do domu i pochowałem ją tu tego samego dnia. Przysiągłem jej, że Reiver i ci wszyscy którzy finansują jego działalność zapłacą za jej śmierć własnym życiem. Nie poddam się dopóki ich wszystkich nie zniszczę.

- A więc, to dlatego zmuszałeś się, by im służyć. Przez cały ten czas. - Danika patrzyła na niego ze smutkiem, prawie z litością. - Ale za jaką cenę, Mal?

- Za każdą cenę. - Wstał pośpiesznie, ciągły stres przywiódł go do nieplanowanego, niechcianego obnażenia własnej duszy.

- Jest późno, Dani. Nie mogę ryzykować i pozostawać tu dłużej. Chcę żebyś nie ruszała się z zamku, gdy wyjadę. Spróbuję wrócić przed świtem. - Nie czekał na jej zgodę. Ruszył w kierunku przyległej łazienki, włączając natrysk siłą swojego umysłu i zostawiając za swoimi plecami milczącą Danikę.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA *xeo222*



ROZDZIAŁ 7

Gdy Malcolm dotarł z powrotem do klubu, River już na niego czekał. - Byłeś bardzo zajęty tej nocy, Brandogge? - Reiver siedział w świetlicy dla obsługi, rozparty

na skórzanej kanapie, z brunetką w stroju toples pod jednym ramieniem i skąpo ubraną blondynką w czerwonym koronkowym staniku i takich majteczkach pod drugim. Jego smokingowa koszula i spodnie od garnituru były rozpięte. Kobiety były stałymi klientkami klubu, które Reiver dodawał dla urozmaicenia do swojej własnej, osobistej stajni. Były przez niego psychicznie zniewolone. Na ich szyjach i kończynach nadal były widoczne słabe ślady nakłuć, ich dłonie wciąż ślizgały się po nim, gdy patrzył na Malcolma swoimi przebiegłymi, podejrzliwymi oczami.

- Szukałem cię kilka godzin temu. Than wspomniał, że wyskoczyłeś na trochę. Jakieś ważne zadanie, lub coś takiego, jak się domyślał.

Than, sukinsyn i lizydupa. Czyżby martwił się, że Mal może być jego największym konkurentem w rywalizacji o stanowisko prawej ręki Reivera? Mała szansa, żeby ten strażnik wiedział, co Mal szykuje dla ich pracodawcy. A gdyby niefortunnie ocknął się w czasie, gdy on zdecyduje się zrobić swój ruch, to bez problemu załatwi i Thana.

Przynajmniej ten sukinkot na jego prośbę wysłał Riverowi tą kobietą dywersję. Choćby dla samego tego, Mal nie skłaniał się ku temu, żeby ten facet zginął w wyniku tego, co miało rychło nastąpić. I jakiegokolwiek nie były zamiary Thana, Mal wiedział, iż były one mniejszym problemem, niż pozwalanie Rivierowi myśleć, że przyłapał go na kłamstwie, lub na nadużyciu zaufania.

- Pojechałem skontrolować Packarda i Kerra - wyjaśnił. - Nic nie powiedziałem Thalowi, ponieważ nie byłem pewny, czy chcesz żeby ktoś jeszcze został wtajemniczony w instrukcje jakie wydałeś, co do tej kobiety. Sądziłem, że jeśli zechcesz, żeby Than o tym wiedział, sam go poinformujesz.

Reiver zamruczał, bawiąc się kosmykiem długich włosów brunetki.

- Poinformowano mnie, że dziś w nocy spłonął dom na ziemiach MacConnów. Packard i Kerr nie wrócili.

- Nie żyją - zimno powiedział Mal. - Zanim dotarłem na miejsce, było już po wszystkim. Kobieta nie chciała spokojnie dać się zabić. Okazało się, że miała dziecko, które chroniła. Walczyła, jak szalona. To nie wyglądało zbyt pięknie. - Nie musiał udawać goryczy składając ten raport. Była echem podobnej, tej która zawładnęła nim siedem miesięcy temu, w brudnej, wilgotnej norze sutenera. Tyle, że wtedy Malcolm nie zdążył dotrzeć na czas, by tamta walka mogła cokolwiek zmienić.

Nałożył kaganiec swojej nienawiści i zamienił ją w maskę chłodnej obojętności. - Packard i Kerr spartaczyli twoje polecenia. Nie miałem innego wyboru, jak tylko dokończyć sprawę tak czysto, jak to było możliwe i zatrzeć ślady.

- Dawczyni Życia i jej dziecka?

Malcolm nonszalancko wzruszył ramionami. - Jak się tego obawiałeś, ona stanowiłaby wieczny problem. Więc upewniłem się, że ten kłopot został zażegnany na zawsze. Packard i Kerr mieli wypadek przy pracy.

Ciemne brwi Reivera uniosły się do góry, gdy rozważał zyski i straty tej akcji. Po czym zachichotał ponuro i wstał z kanapy, razem ze sobą podnosząc parę swoich ludzkich zabawek. Podszedł do Malcolma i założył mu rękę na ramiona. Dobra robota, Bran. Bez wątplenia po tej robocie nabrałeś apetytu, żeby zacząć sprawować opiekę nad pokaźną częścią moich najpoważniejszych interesów.

Reiver pchnął do niego blondynkę. - Ona jest twoja. Możesz zrobić z nią, co chcesz. Nigdy nie pozwolę, by ktoś powiedział, że nie nagradzam swoich lojalnych psów soczystą kością, gdy na to zasłużą.

Malcolm złapał kobietę, gdy ta potykając się wpadła na niego, oszołomiona i na niepewnych nogach z powodu usług świadczonych tej nocy Riverowi. Śmierdziała

wysokoprocentowym alkoholem, narkotykami i seksem, była osłabiona upływem krwi. Żołądek Mala ścisnął się w pięść, ale jego obrzydzenie koncentrowało się głównie na wampirze, który obserwował go uważnie, czekając na jego reakcję.

Mal nie czuł żadnego pragnienia, które potrzebowałyby zaspokojenia w tym miejscu, a już na pewno nie miał ochoty zadowalać się resztkami po Riverze. Ale przez te siedem miesięcy, w czasie których wypełniał swoje obowiązki, by wypełnić przysięgę zemsty, zdał gorsze testy niż ten. Byłby potępiony, gdyby zawiódł teraz, kiedy Danika i jej syn pozostawali pod jego opieką, a ich życie było w jego rękach.

To wściekłość na to, co Reiver rozkazał uczynić dziś wieczorem, sprawiła, że jego dłonie podtrzymujące dziwkę wepchniętą w jego ramiona były bardziej szorstkie niż zamierzał. To myśl o Danice, impuls, który poczuł, by przekłuć jej delikatne, nieskazitelne gardło i przywiązać ją do siebie, spowodowała, że jego ostre jak brzytwa kły wysunęły się na pełną długość.

A chłodne zdecydowanie... i lodowata determinacja... sprawiły, że przywarł do ludzkiej szyi i przelykał haust po haście zanieczyszczoną krew, podczas gdy River patrzył na niego, chichocząc w chorym rozbawieniu.

Mal pił dopóki Reiver nie wyszedł. Dopiero wtedy odsunął od siebie kobietę, jednym ruchem języka zamykając ranki po ukąszeniu, zanim położył ją na kanapę, gdzie zapadła w głęboki sen.

Wytarł usta grzbietem dłoni i zgrzytając zębami wyrzucał z siebie litanie ordynarnych gaelickich przekleństw. W ustach miał smak piołunu. Próbował pozbyć się go plując, gdy zaskoczony usłyszał za sobą delikatne chrząknięcie. Malcolm odwrócił się i zobaczył, że do pomieszczenia wszedł Than. - Na co się, kurwa gapisz?

Czarnowłosa wampir rzucił okiem na delikatną sylwetkę ludzkiej kobiety, po czym wrócił spojrzeniem do Malcolma. - Nie chciałbym ci przerywać, ale mamy problem z

kilkoma stałymi członkami, którzy na głównym parkiecie niezbyt dobrze traktują dziewczęta. Bijąc je, stają się zbyt brutalni. Powiedziałem szefowi ale on mówi, że nie zajmuje się kontaktami z klientami.

- Czyżby? - Zripostował Mał, wciąż rozedrgany po niedawnym incydencie.
- Dlaczego mi to mówisz?

Than wzruszył ramieniem. - Boss powiedział, że dziś wieczorem nie ma ochoty zawracać sobie głowy sprawami klubu, więc pomyślałem, że zejść na dół i urządzę tym dupkom lekcję dobrych manier. Zastanawiałem się, czy możesz mieć ochotę do mnie dołączyć.

Mał wpatrywał się w ochroniarza zwężonymi oczami, próbując go rozgryźć. Nie wiedział, czy mógł to być kolejny test Reivera, czy może jakaś pułapka wymyślona przez samego Thana. Jakoś mu na to nie wyglądało. Jak również w tym momencie, miał to gdzieś. - Chodźmy - warknął, ruszając w kierunku drzwi.

Na godzinę przed świtem, Malcolm wrócił z powrotem do zamku. Danika drzemała z małym Connorem w ramionach. Umościli się razem w dużym, wyściełanym fotelu w wielkiej sali na pierwszym piętrze. Obudziła się, gdy Mał wszedł, usłyszała odgłos jego butów, zbliżający się od strony krótkiej klatki schodowej, która miała wejście od strony wieży.

Zatrzymał się w łukowatym przejściu, jego ciemne brwi zmarszczyły się, kiedy dostrzegł ją i jej śpiącego syna.

- Po tym jak wyglądało nasze rozstanie, na wpół oczekiwałem, że znikniecie zanim wrócę - mruknął.

Jego twarz wyglądała na znużoną i ponurą, a jej wyraz był tak udręczony, że nie

miała innego wyboru, jak tylko zapytać. - Oczekiwałeś, czy miałeś nadzieję?

Cichy kpiący śmiech, a potem powolne potrząśnięcie głową. - Może jedno i drugie.

Zaczął iść w górę klatki schodowej. - Mal, zaczekaj.

Włożyła Connora w bezpieczny kokon z koców i poduszek ułożony na fotelu, po czym ruszyła za Malcolmem. - Gdzie idziesz?

Z górnego piętra zadudnił jego niski głos. - Zmyć z siebie smród klubu Rivera.

Zanim go dogoniła, był w głównej sypialni i zdejmował z siebie broń i ubranie. Już po chwili był wspaniale nagi. Kiedy długimi krokami zmierzał w kierunku przyległej łazienki, pod jego skórą falowały sprężyste mięśnie. Danika wyciągnęła rękę, zmuszając go, żeby się zatrzymał. Czuć było od niego cierpki, miedziany zapach ludzkiej krwi. - Pożywiałeś się dzisiejszej nocy. - Patrzyła na jego zaciśniętą w pięść rękę, tak ogromną i potężną w jej słabym uchwycie. Knykcie były zsiniałe od niedawnych stłuczeń, które jeszcze nie zdążyły się całkiem się zagoić. - Walczyłeś. Co jeszcze robiłeś dzisiejszej nocy? *(przesłuchuje go jak szanowna małżonka;)*

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę, po czym uwolnił dłoń z jej uścisku i przecesał włosy posiniaczonymi palcami. - To moja praca, Dani. Nie zmuszaj mnie żebyś musiał ci się tłumaczyć, w jaki sposób ją wykonuję.

I jakby to było wszystko, co miał ochotę powiedzieć, wszedł do łazienki i odkręcił prysznic na cały regulator. Wszedł pod strumień i rozpoczął energiczne szorowanie swojego ciała.

Patrzyła na niego przez moment, zraniona jego odprawą. Ale bardziej martwiła się tym, co robiło z nim pragnienie pomszczenia jego straty. Bała się, ile może go to kosztować. - Myślę Mal, że mam prawo niepokoić się o ciebie. Przecież chyba nie

jesteśmy dla siebie obcy.

Nie odpowiedział, tylko kontynuował to wściekle szorowanie swojej skóry. Z takim samym gniewem polał szamponem swoje ciemne włosy, a następnie pod parującą gorącą wodą spłukał pianę z włosów i ciała. - Troszczę się o ciebie, Malcolm. Boję się o ciebie.

- Zupełnie niepotrzebnie. - Jego oczy płonęły, gdy zakręcał prysznic i ściągał ręcznik z wieszaka obok bojlera. - Jeśli już chcesz się o kogoś bać, to bój się o siebie, gdy River połapie się w tym, co zrobiłem. Teraz bardziej niż kiedykolwiek, zależy mi żeby pozbyć się tego drania.

Pokiwała głową, rozumiejąc tylko, że w tym momencie był przeżarty nienawiścią do Rivera. - To poszukiwanie zemsty zniszczy ciebie Mal, nie jego. Jak długo możesz opierać się złu i nie splamić nim siebie?

- To mój problem. Nie twój. - Osuszył się pośpiesznie i wrzucił ręcznik do kosza stojącego za Daniką. - Nie martw się o moje życie, kiedy powinnaś zamartwiać się sobą i swoim dzieckiem.

- Ty arogancki ośle - spiorunowała go wzrokiem, nienawidząc go za jego poświęcenie, mimo, że również za to samo go kochała. O, Boże. Tak, kochała go. Jakaś jej częśćka prawdopodobnie zawsze to do niego czuła. - Był czas, kiedy uważałam cię za najbliższego wśród moich przyjaciół, Malcolmie MacBain. A teraz...

- Teraz co? - Tak mocno powściągał wściekłość, aż drżał mu głos. Kiedy raptownie się do niej odwrócił, jego oczy płonęły. - Uprawialiśmy seks. Niesamowity seks, muszę ci to przyznać, ale wybrałaś zły moment. Moje życie jest nieustabilizowane. Gram o cholernie dużą stawkę. I nie chcę, żebyś znajdowała się bliżej źródła tego ognia niż już jesteś.

- A ja nie mogę stać z boku i przyglądać się, jak ty płoniesz. - Przełknęła lodowatą grudę, która utkwiała jej w gardle. Gdy patrzyła na niego, czuła jak się ona przemieszcza, by opaść zimnym ciężarem na jej sercu. - Wiesz Malcolmie, ja już straciłam jednego mężczyznę, którego kochałam. Nie zdołam znowu przejść przez ten rodzaj cierpienia.

Dopiero wtedy jego twarz straciła nieco twardych linii. Lekko rozluźniły się mięśnie na jego napiętej, zarośniętej szczęce, a tłąca się w jego oczach mroczna furia, stała się trochę mniej przerażająca. - Danika, ja ... nagle zmarszczył brwi i stłumił soczyste przekleństwo. Gdy wyciągnął do niej rękę, ta delikatnie drżała. Jego palce musnęły jej policzek z bolesną czułością, a potem zawinęły się delikatnie wokół tyłu jej szyi. Przyciągnął ją do siebie, by złożyć na jej wargach rozdzierający serce pocałunek.

Roztopiła się w nim pomimo bólu i gniewu, który szarpał ją od środka. Jego objęcia były mocne i ciepłe, usta jak kojący balsam, mimo, że wszystko czego teraz chciała, to wściekać się na niego i żądać rzeczy, których nie miała prawa od niego oczekiwać.

Jego kły zadrasnęły ją lekko, kiedy pozwolił swoim ustom rozdzielić się z jej wargami, po czym osunąć się na wrażliwą skórę gardła. Wstrzymała oddech w wypełnionym pragnieniem oczekiwaniu, jej żyły pulsowały dla niego, słyszała bicie własnego serca... w jego niewypowiedzianych myślach... rozbrzmiewające echem przez każde zakończenie nerwowe w jej ciele. Jej głowa przechyliła się na bok, jak za pociągnięciem niewidzialnych sznurków, dając mu dostęp do pulsującego tętna. Pocałował ją tam, czule i słodko. Drażnił to delikatne miejsce językiem, zębami i kłami. Po czym z jego gardła wydarł się ochryply jęk zaprzeczenia. - Nie mogę - wyszeptał w jej usta. - Nie mogę zamienić błędu, jaki z tobą popełniłem, w coś nie do naprawienia, Dani.

Odsunął się, przycisnął swoje czoło do jej czoła i przytulił ją do swojego nagiego

ciała. - Czas nigdy nam nie sprzyjał, nieprawdaż? Los dał nam tylko posmak tego, co mogłoby być.

Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nie mogła mu też odmówić, kiedy całując, prowadził ją w kierunku łóżka. Kochali się w zadyszanej pasji, żadnych obietnic, ani odmów. Żadnych słów. Jedynie namiętność.

Danika płakała z rozkoszy, którą ją obdarzył, a także z powodu niezaprzeczalnego faktu, że były to ostatnie chwile, jakie spędzali razem. Ponieważ myślała dokładnie to, co mu powiedziała, nie mogła stać z boku i przyglądać się, jak niszczy go nienawiść do Reivera. Jej serce nie zdołałoby znieść kolejnej straty.

Kiedy leżąc obok niej zapadł w ciężką drzemkę, Danika wysliznęła się z łóżka, żeby na dole wykonać tchórzliwy telefon z jego komórki. - Gideon, szepnęła gdy połączyła się z sekretnym numerem w Bostonie. - Muszę wyjechać ze Szkocji i potrzebuję pomocy Zakonu.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA *xeo222*



ROZDZIAŁ 8

To było trudniejsze niż chciałby się przyznać. Opuszczenie Daniki tego wieczoru, by tuż po zachodzie słońca być z powrotem w klubie, zanim pokaże się tam Reiver i

zacznie się zastanawiać, gdzie niespodziewanie jego „pies obronny” wywędrował na cały dzień. Malcolm najeżył się na myśl, że znowu będzie zmuszony grać. Zaczynał uciskać go kołnierzyk... tym dotkliwiej, ponieważ nie mógł oprzeć się wrażeniu, że drogo za to zapłaci, drożej niż przypuszczał. Czymś, czego nie spodziewał się pragnąć aż tak głęboko.

Kiedy kilka godzin temu, gdy mówił jej żegnaj, miał dziwne uczucie, że to koniec. W jej pocałunku wyczuwał rezygnację. Jej uścisk był zbyt czuły, zbyt kurczowy.

Tracił ją.

Niech to szlag, właściwie sam ją od siebie odepchnął.

Z wielu powodów powinno mu to przynieść ulgę. Wikłanie się teraz w romantyczny związek było ostatnią, cholerną rzeczą, jakiej potrzebował. Był taki ostrożny, odkąd pochował swoją utraconą partnerkę i nienarodzone dziecko. Unikał nawet przelotnych flirtów. Miesiącami z lodowatą determinacją kuł rozrżone do czerwoności żelazo swojej wściekłości, gniewu i żalu, aż powstała z nich niezniszczalna stal.

Miał wszystko pod kontrolą. Aż do momentu, gdy trzy noce temu dostrzegł przypadkiem jasny, piękny blask, który był Daniką MacConn, stojącą zaledwie kilka metrów od niego na przyjęciu w Mrocznej Przystani. Gdyby tylko nie zobaczył jej wtedy. Gdyby tylko nie uczynił z wodzenia za nią wzrokiem przez całą noc, swojej prywatnej misji, rozdarty pomiędzy chęcią unikania jej spojrzenia, a pragnieniem, by stanąć przed nią i sprawdzić, czy go pamięta. Czy rozpozna go pod maską blizn i pancerzem fałszywego nazwiska.

Odezwanie się do niej tej nocy, korzystając z wiedzy o jej talencie było lekkomyślnym posunięciem, aroganckim, miał tego świadomość, nawet jeśli nie

byłaby w stanie mu odpowiedzieć.

Teraz już było o wiele za późno na pobożne życzenia, by móc zachować dystans. Za późno, by myśleć, że mógł wrócić do tego, co było zanim przybyła do Szkocji. Za późno, by próbować przekonywać siebie, że nie dba o Danikę ... że znowu całkowicie nie stracił dla niej serca.

Kochał ją.

Jakaś jego część zawsze ją kochała.

Świadomość tego uderzyła go z tak olbrzymią siłą, że robił wszystko, co w jego mocy, by nie wybiec z pieprzonego klubu Reivera i nie powiedzieć Danice, co dokładnie do niej czuje. Słowa, którymi powinien ją obdarować, gdy dzisiaj całowała go na pożegnanie, a on starał się przekonać siebie, że nie może jej zatrzymać. Że to nie zabijało go od środka, gdy zastanawiał się, co odrzucał... przyszłość z Dani, przez tak kurczowe trzymanie się żądz pomszczenia swoich zmarłych.

Malcolm zaklął sromotnie i walnął pięścią w bok bezcennej rzymskiej urny stojącej w jednym z prywatnych salonów klubu. Starożytne dzieło sztuki wybuchło, roztrzaskując się na tysiące maleńkich, wirujących w powietrzu kawałeczków.

- To cię będzie kosztować ostry opieprz od szefa. - Zachichotał Than z za jego pleców, a na jego widok, Malcolm całkowicie stracił nad sobą panowanie. Rzucił się na wampira z rykiem i klami wybuchającymi z dziąseł pod wpływem wściekłości. Wprawdzie, nikt bardziej nie zasługiwał na atak jego furii, niż on sam, ale teraz był gotów komuś dopieprzyć, a Than był najbliższym celem. Ponadto, sukinsyn dał mu ostatnio sto powodów, by skopać mu dupę. Mal warknął z agresją. - Wybrałeś cholernie zły moment, żeby pokazywać mi swoją gębę, Angolu.

- Nie szukam z tobą zwady - odburknął Than. – Przyszedłem, by ci powiedzieć, że Reiver oddelegował nas dzisiejszej nocy do chronienia pewnej imprezy.

Malcolm spojrział na niego gniewnie zwężonymi oczami. - Jakiej imprezy?

Than rzucił mu przenikliwe, znaczące spojrzenie.- Reiver dzwonił z lotniska. Dostarczono jego przesyłkę. Jak mnie poinformował przetransportuje ją do jednej ze swoich wiejskich posiadłości. - Odepchnął od siebie rękę Mala i klnąc ordynarnie wygładził zmarszczki na swoim ciemnym płaszczu. - Skoro nie może posłużyć się Kerrem i Packardem, dzisiejszej nocy zostawia tobie i mnie kierowanie sprawami bezpieczeństwa. Reiver spodziewa się swoich najlepszych klientów, więc wymaga zapewnienia całkowitej dyskrecji.

Klub krwi.

Malcolm wiedział, że którejs nocy nadejdzie ta chwila, a mimo to był zaskoczony. To był... jego moment, nareszcie, zza jednym zamachem zajmie się Reiverem i jego nietykalnymi przyjaciółmi. - Kiedy wyruszamy? - Zapytał, ufając, że napięty głos nie zdradzi Thanowi jego poruszenia.

- Szef chce nas tam natychmiast.

Mal kiwnął głową. Pragnienie mordu płynęło w jego żyłach jak kwas. Napotkał nieprzeniknione spojrzenie Thana i posłał ochroniarzowi chłodny uśmiech. - Więc, na co do cholery czekamy?

* * *

Przed domkiem myśliwskim Reivera, parkowało pół tuzina lśniących luksusowych samochodów, jakby ich właściciele wybrali się na spotkanie biznesowe, a nie na chorą, krwawą grę, która wkrótce miała mieć miejsce w tej pokrytej śniegiem okolicy.

Dzisiejszej nocy poleje się krew, milcząco ślubował sobie Malcolm, kiedy razem z Thanem szli po schodach w kierunku frontowych drzwi okazałej rezydencji, ulokowanej w ustronnym zakątku szkockich gór. Mocno zaciskał szczęki, w żyłach buzował mu gniew, kiedy kolejny strażnik otworzył drzwi i pozwolił im wejść do środka. - Tędy - powiedział pochodzący z Rasy drab, skinieniem głowy wskazując im kierunek. - Mr. Reiver czeka na was.

Siedział w swoim pełnym przepychu, reprezentacyjnym salonie, którego wysokie ściany pokrywała mahoniowa boazeria i drogocenne obrazy ukazujące sceny polowań. Pełne gracji jelenie powalane przez średniowiecznych łuczników; małe rude lisy w trakcie ucieczki przed sforą brązowo-białych psów gończych i ubranych w czerwone żakiety konnych myśliwych; majestatyczny lew osaczony przez dzierzających dzidy tubylców, a za nimi biały poszukiwacz przygód dźwigający karabin o długiej lufie. Ten pokój był świątynią zabijania, a zgromadzeni w nim byli Reiver i niemal tuzin uprzywilejowanych członków, tajemnej klikki dzikusów.

- Ach - powiedział Reiver ze skąpym uśmiechem. - Przybyliście akurat na czas. Właśnie mieliśmy zacząć przegląd wieczornych atrakcji.

Jego krwiożerczy przyjaciele wymienili entuzjastyczne spojrzenia, ale chłodny i badawczy wzrok wzrok Reivera spoczął na Malcolmie. - Może więc zaczniemy? Reiver dotknął ramy w obrazie przedstawiającym polowanie na lisa i wtedy za grupą elegancko odzianych wampirów, otworzyło się wejście do słabo oświetlonego korytarza. Ze spojrzeniem, które nakazywało Malcolmowi i Thanowi iść za nimi, Reiver wszedł do środka na czele podążającej za nim grupy.

Wnętrze długiego korytarza wypełniały jeszcze okrutniejsze dzieła sztuki. Wizerunki myśliwych i ofiar stały się bardziej makabryczne, scena po scenie ukazujące całą ludzką degradację i rozlew krwi. To była przerażająca sztuka. Ta bluźniercza kolekcja bez wątpienia miała rozpalać najniższe żądze i instynkty Rasy. Malcolm nie zwracał na nią zbyt wiele uwagi. Cały skupiony na Reiverze, jego zmysły były napięte i gotowe, czekał na najlepszą okazję, by uderzyć na wampira i jego kumpli.

Gdy zbliżyli się do końca korytarza, Reiver dotknął kolejnego ukrytego panelu na ścianie. Zimne powietrze wpadło do środka, kiedy podniosła się gruba, drewniana brama, ukazując ukryte przejście wiodące na tereny majątku. Obie strony przejścia wypełniane zaryglowane klatki, ale nie wypełniały ich zwierzęta. - Mój Boże, wyszeptał jeden z kompanów Riviera idący za Macolmem. - Tylko poparz na nich wszystkich. Jedno bardziej kuszące od drugiego.

- Reiver zachichotał, pełen samozachwytu. - Czyż nie obiecywałem, że będę miał dla każdego coś, co zaspokoi jego apetyty.

Wewnątrz klatek siedzieli skrepowani i zakneblowali ludzie, ponad dwadzieścia osób mężczyzn i kobiet, wszystkich kształtów, rozmiarów i wieku. Drżeli w mroźnym nocnym powietrzu, ich oczy były ogromne i pełne strachu. Żółć podeszła Malcolmowi do gardła, kiedy patrzył na przerażone twarze. Nie mógł pozwolić, by ta chora gra toczyła się dalej. Reiver i jego kumple z klubu krwi zginą dzisiejszej nocy... tu i teraz. Zaczął sięgać po broń gotowy, by rozpętać piekło.

- Och, to jeszcze nie wszystko - oznajmił Reiver, strzelając palcami w kierunku jednego ze strażników, wysyłając go w milczącym poleceniu. - Dzisiejszej nocy mam do zaoferowania coś nieprzewidzianego i wyjątkowo... oryginalnego.

- Brandogge, myślę, że będziesz tym szczególnie zainteresowany.

Malcolm po tej uwadze stanął jak wryty, zimny strach sparaliżował jego zmysły, zanim jeszcze zobaczył kogo przyprowadził strażnik.

Danika w przeciwieństwie do innych, nie została zakuta w kajdany ani zakneblowana. Nie, pistolet przyłożony z tyłu jej głowy wystarczył, by upewnić się, że nie będzie walczyć ani uciekać przed tymi, którzy ją porwali. Długie blond włosy opadły jej bezładnie na twarz, kiedy powoli stąpała przed zbirem Rivera, w swoich ramionach mocno tuliła małego Connora. Serce Malcolma zacisnęło się w pięść, kiedy jej udręczone spojrzenie trafiło na niego przez tłum. W wilgotnych niebieskich oczach były przeprosiny, a jej blade wargi miały wyraz pełen żalu.

Zanim Malcolm zdążył zareagować... zanim zdołał przekalkulować ogromne ryzyko gwałtownego odwrócenia się w stronę Reivera i jego świty i rozwalenia ich zanim strażnik stojący za Daniką pociągnie za spust... Thane i dwóch innych strażników rzucili się na niego.

Dani krzyknęła, a strach i przerażenie w jej głosie niemal go zabiły. Martwiła się o niego, podczas gdy to jego osobiste pragnienie zemsty przywiodło ich oboje ku tej tragicznej chwili.

Zimny metalowy nos załadowanej dziewiątki Thana, twardy i gotowy do strzału wbił się w skroń Mala. - Nie rób niczego głupiego, dupku.

Malcolm ryknął, ale to była tylko bezsilna wściekłość. Nie mógł nawet spróbować odrzucić tych, którzy go trzymali. Nie mógł zrobić nic... nie, dopóki Danika i jej dziecko byli narażeni na takie samo ryzyko, jak on. - Than, ty cholerny draniu. Zanim to się skończy, ciebie też zabiję.

- Ochroniarz wyglądał na nieporuszonego. Pewną ręką trzymał broń, która mogła

wydmuchnąć Malowi mózg z czaszki. Jeden ze strażników pozbawił go jego glocków i włożył je sobie do kieszeni.

Podczas, gdy towarzystwo Reivera trzymało się z daleka, on sam podszedł, powoli kręcąc głową. - Okłamałeś mnie. Zawiodłeś moje zaufanie. - Stał przed Malcolmem, kipiąc z ledwo powstrzymanej wściekłości. - Służąc mi mogłeś zejść wysoko. Myślałem, że do tego dążyłeś, Brandogge. Więc, mam tylko jedno pytanie. Dlaczego okazałeś się tak cholernie głupi, żeby właśnie teraz mi się przeciwstawić?

Malcolm warknął w odpowiedzi. - Nie jestem twoim psem i nigdy nim nie byłem ty arogancki skurwysynu. - Zdołał dostrzec cień zmieszania w ciemnych oczach Reivera, więc ciągnął dalej, zadowolony z tego, że wreszcie może odkryć swoje prawdziwe intencje. - Czekałem na szansę, by zabić ciebie i tych degeneratów z klubu krwi, od chwili, gdy pracujący dla ciebie w Edynburgu sutener wyrzeźbił mi twoje imię.

Zmieszanie Rivera pogłębiło się, przechodząc w niepewność wyrażającą się zniesmaczonym, zdziwionym spojrzeniem. - Mój sutener?

- Aye - wychrypiął Mal. - Ludzki śmieć, który dostarczał zabawek do twoich chorych polowań. Ten sam, który siedem miesięcy temu schwytał na edynburskiej ulicy młodą kobietę, by ci ją sprzedać.

- Miałbym się przejmować każdą mrówką, którą zostaje zgnieciona obcasem buta. - Zadrwił River. - Albo oplakiwać każde bydle wysłane do rzeźni? To jest prawie to samo, za wyjątkiem tego, że to my jesteśmy na szczycie łańcucha pokarmowego, a nie ludzie.

- Ona była Dawczynią Życia - wysyczał Malcolm. - I była we wczesnej ciąży. Walczyła z twoim dostawcą. Zabił ją. Moją partnerką i nasze nienarodzone dziecko.

- River wybuchnął śmiechem. - I to wszystko z powodu kobiety, Brandogge? I na dodatek martwej? - Jego okrutne spojrzenie prześliznęło się na Danikę. - A teraz ta druga? Co ona dla ciebie znaczy?

- Nie mieszaj jej do tego - warknął Mal. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Och, chyba jednak ma. - Spojrzenie Reivera stało się brutalne, lśniące bursztynem. - Jest dla ciebie ważna, a to oznacza, że ona i jej bachor będą cierpieć bardziej niż ty teraz. Szkoda, że tego nie dożyjesz. - Rzucił okiem na Thana. - Zabij go - syknął.

Lodowaty metal pistoletu wgrzył się mocniej w skroń Mala, palec Thana już naciskał na spust, a wtedy w niewyraźniej plamie błyskawicznego ruchu, wampir obrócił się i zamiast do Mala, strzelił do strażnika trzymającego Danikę.

Strażnik upadł z odstrzeloną głową. Wybuchnął chaos. Kumple Rivera rozpierzchli się na boki. Than strzelił do jednego ze strażników pilnujących Mala, a on skrzył kark drugiemu. - Dani uciekaj! - Wykrzyknął, wyrwał swoją broń z kieszeni zabitego wampira i gwałtownie się odwracając wystrzelił piekielny grad kul w stronę Rivera.

Za późno.

Reiver już był tuż za nią.

Wzrok Malcolma zalał bursztynowy żar, przeładował oba glocki i wycelował je w środek wypełnionej szyderstwem twarzy Rivera.

Tyle, że to nie twarz Reivera zobaczył na końcach luf swoich pistoletów... O Chryste, to był malutki chłopczyk Daniki, wił się i zawodził, zwisając na

maleńkim, pulchniutkim ramionku, które River kurczowo trzymał w swojej pięści. W drugiej ręce ścisnął garść włosów Daniki, a ona walczyła, próbując wyrwać się spod jego brutalnej kontroli, jej oczy były dzikie z przerażenia, ręce wyciągnięte w kierunku krzyczącego dziecka.

Reiver obnażył kły w zabójczym uśmiechu. - Przegrałeś psie.

TŁUMACZENIE wykidajlo

BETA [x eo222](#)



ROZDZIAŁ 9

Danika prawie nie mogła oddychać ze strachu, który ogarnął ją, gdy patrzyła jak Connor młócił nóżkami w okrutnym chwycie Reivera. Jej własny ból się nie liczył, ani panika, ni żal... żadne z nich nie było ważne, kiedy życie jej dziecka dosłownie wisiało na włosku.

I Malcolm.

O Boże... Mal.

Pomyślała, że nie może już być gorzej, gdy Reiver dostrzegł ją i Connora na lotnisku, na które przybyli zaraz po zmroku, by odbyć zorganizowany przez Gideona, powrotny lot do Danii. Reiver i jego zbiry byli tam, by doglądać rozładunku żywego

towaru w prywatnym hangarze... tego samego ładunku, o którym słyszała, gdy rozmawiali przy Mrocznej Przystani w noc przyjęcia. W tę noc, która teraz wydawała się być lata temu? Złapali ich i wrzucili do ciężarówki z resztą osób przeznaczonych do odrażającej rozrywki, chorego polowania Reivera.

Danika bała się tego, co Reiver wymyślił dla niej, jej dziecka, oraz dla Malcolma. Przede wszystkim, dla niego. Reiver nie był w stanie ukryć swojej furii z powodu kłamstwa Mala i tego, że ona wciąż oddychała, wciąż zdolna, by sprawiać kłopoty jemu i jego szemranym interesom.

Zatem przysporzyła Reiverowi kłopotów... przynajmniej taką miała nadzieję, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Jej telefon do Zakonu był czymś więcej niż tylko organizowaniem wylotu ze Szkocji dla niej i Connora. Nie mogła znieść myśli o tym, że Malcolm żyje w ciągłym niebezpieczeństwie, nawet gdyby oznaczało to ingerencję w jego poszukiwania osobistej zemsty.

Wciągnęła Zakon w ten bałagan. Mimo, że jego bostońska siedziba pograżyła się w chaosie, odkąd ostatni raz rozmawiała z Gideonem, to jego natychmiastowe zaciągnięcie języka w sprzymierzonej z Zakonem Agencji Nadzoru wyjawilo, że elitarny oddział Agentów w Londynie już od dłuższego czasu miał Reivera na oku i pracował nad tym, by znaleźć dowody jego przestępczej działalności i wydać na niego wyrok. Nawet jeden z nich wkroczył się do jego organizacji i pracował w ochronie.

Danika rzuciła okiem na osobnika Rasy o niebezpiecznym wyglądzie, mężczyznę z czarnymi włosami zebranych do tyłu, w luźną kitkę na karku. Ochroniarza o imieniu Than, który przeciwstawił się Riverowi i ruszył na pomoc jej i Malowi. Dzięki Thanowi kilku kumpli krwiożerczego wampira leżało bez życia, inni po prostu

uciekli z powrotem do rezydencji, lub rozpierzchli się po krańcach pokrytego śniegiem trawnika.

Lecz teraz tajny agent Agencji Nadzoru stał się ostrożny i stał w takim samym bezruchu jak Malcolm. Obaj rozumieli jak cenne było dla Daniki jej dziecko: żaden z nich nie chciał dać Riverowi pretekstu do skrzywdzenia maleńkiego Connora.

- Rzućcie broń, obydwaj. - Głos Rivera brzmiał nieludzko, był chrapliwym, przepelnionym groźbą warknięciem. - Rzućcie ją, albo wyrwę temu dziecku ramię ze stawu i nakarmię nim jego matkę, podczas gdy wy będziecie na to patrzeć.

- O, mój Boże - załkała Danika, niezdolna do powstrzymywania jęku przerażenia nim eksplodował z jej ust. - Proszę nie krzywdź mojego dziecka. Błagam...

Nawet jeśli to było jedyne rozwiązanie, nie wiedziała, co było bardziej przerażające: ohydna groźba Rivera, czy fakt, że sprawiła ona, iż zarówno Malcolm jak i Than powoli zaczęli się rozbrajać kładąc swoją broń na ziemi.

- A teraz w tył zwrot. I marsz do przodu, aż powiem stop.

Obydwj mężczyźni Rasy zastosowali się do jego komendy, ich oczy wrzały bursztynowym ogniem.

- Wypuść ich – warknął Malcolm. - Niech cię szlag, ty chory pojebańcu... puść ich.

Reiver zachichotał. - Jak sobie życzysz. - Pięść we włosach Daniki rozluźniła się, a potem poleciała ona do przodu, pchnięta z taką karzącą siłą, że poszybowała w powietrzu. Malcolm poruszył się błyskawicznie, łapiąc ją zanim spadła.

Ale Reiver jeszcze nie skończył.

Danika wyczuła, że jej dziecko jest w niebezpieczeństwie jeszcze zanim Reiver rzucił Connora w powietrze. Uniosła głowę i ono tam było... jej serce. Cisnął nim wysoko w górę jak szmacianą lalką, by nikt nie przeszkodził mu w ucieczce i zniknął w ciemnościach nocy.

Danika krzyczała patrząc w górę na bezradne niemowlę, płuca w jej klatce piersiowej prawie eksplodowały z przerażenia.

* * *

Malcolm ruszył przed siebie.

Skoczył z rozbiegu i doganiając Connora w powietrzu, sprowadził go na ziemię w bezpiecznej kołysce swoich ramion. Danika klęczała na kolanach, trzymając twarz w dłoniach i drżąc, podczas gdy stojący obok Than nieudolnie próbował ją pocieszyć.

- Dani - szepnął Mal. - Daniko, już wszystko w porządku. Connor jest bezpieczny. Uniosła swoją mokrą od łez twarz i wyjmując dziecko z jego ramion zaszlochała z ulgi. - Och, Mal. Owinęła jednym ramieniem jego szyję, przyciągając go do siebie i swojego dziecka. Dziękuję Mal. Dziękuję za ocalenie mojego syna. Uratowałeś nas.

Pocałował ją w czoło i mocno przytulił. Nigdy nie kochał jej bardziej niż w tych przerażających momentach, gdy myślał, że może ją stracić z powodu furii Rivera.

- Już wszystko dobrze - szepnął. - Teraz już obydwójce jesteście bezpieczni. Ale musicie opuścić to miejsce. - Pomógł jej wstać na nogi. Jednakże, w głębi duszy wiedział, że nie może iść razem z nią.

Jeszcze nie teraz.

Nie po tym, co Reiver zrobił tu dzisiejszej nocy. Than, ochroniarz, który tak

naprawdę wcale nim nie był, rzucił Malowi ponure spojrzenie. - Reiver daleko nie ucieknie. Tak samo jak jego kumple. Agencja jest świadoma, co tu się dzieje dzisiejszej nocy. Mój oddział będzie tu lada chwila, o ile już nie czekają, żeby ich wszystkich zgarnąć.

Malcolm powoli pokręcił głową. Nie mógł zaufać nikomu, jeśli chodzi o zakończenie tej sprawy. Nie po tym wszystkim. Nie mógł odprężyć się nawet na chwilę wiedząc, że Reiver lub jego morderczy kompani wciąż chodzą wolni, zdolni krzywdzić niczego nieświadomych ludzi.

Zdolni skrzywdzić Danikę albo Connora, dwójkę ludzi, którzy liczyli się dla niego bardziej niż cokolwiek innego w jego życiu.

Spojrzał na Dani, a jego serce przepełniła tak głęboka miłość, że to aż nim wstrząsnęło. Chociaż tak kurczowo trzymał się postanowienia, by ujrzeć Rivera martwym, istniała jedna rzecz, która mogła go powstrzymać od dążenia do tego celu. To była właśnie Danika. Mogła to uczynić jednym słowem, jedną łzą, jednym błagalnym spojrzeniem.

Ale w jej oczach zobaczył tylko niezachwianą odwagę. Wiarę, która uczyła go pokory i równocześnie wytyczała nowy cel w jego życiu.

Silna, piękna kobieta.

Jego Dawczyni Życia, kiedy tylko to wszystko się skończy.

Wiedział, ile ta odwaga musiała ją teraz kosztować. To było wypisane w jej udręczonych niebieskich oczach, kiedy w stoickim zrozumieniu, delikatnym skinieniem głowy udzieliła mu milczącego pozwolenia.

Malcolm mocno ją przytulił i opadł swoimi ustami na jej wargi w niespiesznym

pocałunku. - Muszę to zakończyć.

Jej odpowiedź była cicha, ale zdecydowana. - Wiem.

Trudno mu było się z nią rozstać, ale w końcu wypuścił ją z ramion i spojrzał na Thana. - Ma być bezpieczna. Liczę na ciebie.

Mężczyzna Rasy z powagą skinął głową.- Masz moje słowo.

Mal nie był w stanie oderwać spojrzenia od Daniki. Ona podtrzymywała to spojrzenie swoim własnym niezachwianym, dumnym i dzielnym, jakby naprawdę była nordycką księżniczką.

- Idź to skończyć, Malcolm. A gdy już to zrobisz, wróć do mnie i nigdy więcej mnie nie opuszczaj.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA *xo222*



EPILOG

Wrócił do niej dwie noce później, brudny i wymizerowany, ale dla Daniki to był najcudowniejszy widok. Otworzyła drzwi swojego małego wiejskiego domu w Danii i ujrzała Malcolma, stojącego w świetle księżyca na zimnej frontowej werandzie.

Płatki śniegu tańczyły wokół niego. Jej serce zabiło tak szybko, że nie mogła wykrztusić jednego słowa. I chociaż przeszywało ją pragnienie tak pierwotne, jak potrzeba powietrza, by rzucić się w jego ramiona powstrzymała się, próbując odczytać wyraz jego grobowej, pozbawionej uśmiechu twarzy.

- Reiver nie żyje - powiedział jej. - Inni również.

Wypuściła wstrzymywany oddech. Ogarnęła ją ulga, nie z powodu ostatecznej sprawiedliwości, którą Malcolm wymierzył swoim wrogom, lecz po prostu dlatego, że stał teraz przed nią, cały i zdrowy, silny i bezpieczny.

Mal nie ruszył się z miejsca. Odchrząknął. - Thane mówił mi o swoich kontaktach w Bostonie. Dyrektor Agencji Nadzoru o nazwiskiem Mathias Rowan, robił aluzję do tego, że Zakon ma poważne kłopoty. Skoro sprawy stoją tak źle, jak Rowan i Zakon wydają się sądzić, Than i jego ludzie mogą zostać poproszeni o to, żeby pomóc im się z nich wydobyć.

Te wiadomości głęboko ją zmartwiły. Próbowwała nawiązać kontakt z Gideonem odkąd wróciła do domu, ale prywatny numer, pod którym zawsze łączyła się z siedzibą Zakonu w Bostonie był nieczynny. Co nie zdarzyło się nigdy odkąd istniała ta linia.

A jeśli Zakon wycofał się stamtąd... z własnego wyboru, lub zmuszony do tego siłą... i przegrupowuje się, by walczyć z czymś strasznym, nienawidziła wyobrażenia sobie, co to mogło oznaczać.

- Than zaproponował mi miejsce w Agencji Nadzoru - dodał Mal. - Chce, żebym był częścią jego zespołu.

Serce Daniki stało się ciężkie jak kamień. Te dwa dni bez niego były torturami, lecz zdołała je przeżyć. Wierzyła, że wróci zaraz po tym, gdy zrobi to, co musiał zrobić.

Zniosła jego brak, ponieważ miała nadzieję, że kiedy wróci, to po to, żeby z nią zostać.

Ale teraz, gdy patrzyła na niego zdołała zachować na twarzy maskę dumy i odwagi.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Nie przyjąłem jego propozycji, Dani. - Zbliżył się o krok i ujął jej twarz w swoje szorstkie, ciepłe dłonie. Jest tylko jedno miejsce, gdzie chcę teraz być, właśnie tu z tobą.

Wypełniła ją radość, ale nie mogła się cieszyć, jeśli powstrzymywał go tylko jej strach o niego. - Nie rób tego ze względu na mnie, Mal. Wiem, mówiłam ci, że nie mogę znieść myśli o tym, na co się narażasz i to prawda. Ale nie chcę być kimś, kto trzyma cię tam, gdzie nie chcesz być. Nie mogę cię o to prosić.

- Nie musisz tego robić - powiedział, pieszcząc kciukiem jej policzek. - Thane i jego oferta poczekają, ale to nie. Kocham cię, Danika. Bądź ze mną. Przy moim boku, jako moja partnerka.

Przytrzymała jego intensywne, szare spojrzenie, zalała ją fala miłości, wypełniła nadzieja i radość. - Tak, Malcolmie. Będę z tobą. Jako twoja druga połowa, twoja partnerka i przyjaciel.

Przyciągnął ją do siebie, a w jego oczach rozpały się iskry bursztynowego blasku
- Będziesz dla mnie wszystkim, Dani.

Radośnie pokiwała głową. - Na wieczność.

- Począwszy od tej chwili - powiedział z dziką pasją i pomrukiem w swoim głębokim głosie.

Pocałował ją namiętnie, ostre czubki kłów drasnęły jej wargę w mrocznej obietnicy.

Po czym chwycił ją w ramiona i wniósł do domu, do łóżka, w którym właśnie miała rozpocząć się ich wieczność.

KONIEC



To już koniec krótkiego opowiadania o Danice i Malu, mam nadzieję, że tak ja cieszyicie się z tego, że autorka dała im drugą szansę :)

Dziękuję mojej becie 1000 całusów za twoją pracę Violu, oraz wszystkim dopingującym mnie chomikom, dziękuję wam dziewczyny.

Wkrótce zapraszam na 10 część Rasy tym razem strzała amora trafi w niepokornego Harvarda :)

Pozdrawiam, Gosia vel wykidajło